NOWOŚCI ILLUSTROWANE

renumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
ny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRA... W XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

łówny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Al... Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w W... na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy, — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 14 stycznia 1911. Nr. 2

Krwawy napad bandytów na proboszcza.

(Treść ... str. 7)



...trowanych" zawiera: Nowy gabinet. — Oblężenie anarchistów w Londynie. — Kobiety ac... nie motorowe. — Jubileusz „Gwiazdy" w Przemyślu. — Wielka eksplozya w Nowym Yorku. — Przy bud... wie drapacza nieba. Podróż niemiec iego następcy tronu. - „Zuchy krowoderskie".

Oryginalne zdjęcia z Dziedzic i z Londynu.

Podróż niemieckiego następcy tronu.

Pisma niemieckie przepełnione są w ostatnich czasach wiadomościami z podróży na Wschód, jaką odbywa właśnie książę Fryderyk Wilhelm, pruski następca tronu, wraz z żoną swoją księżniczką Cecylią.

Właściwie wyrażenie „wraz z żoną“ nie jest bardzo ścisłe. Para książęca dojechała bowiem razem tylko do Ceylonu, gdzie rozeszły się ich drogi. Księżniczka udała się stamtąd przez morze Czerwone do



Nowy gabinet: Dr. Ryszard bar. Bienerth, mianowany po raz trzeci prezydentem ministrów.

Egiptu, gdzie zamierza spędzić część zimy, podróżując po Nilu, oglądając katarakty, piramidy i... krokodyle. Te ostatnie z przyzwoitej naturalnie odległości.

Książę zaś zwiedza tymczasem Indye przedgangesowe, ciekawe i egzotyczne dla każdego, choćby i jak „wysokiego“ podróżnika. Honory domu robią władcy kraju, Anglicy i jak przystało, witają księcia z możliwą pompą i okazałością, jakby starając się, by te pod przepysznem wschodniem niebem bajeczne i dekoratywne przyjęcia i uroczystości nie zatarły się nigdy w umyśle księcia następcy. Zaczęło się od przywitania przez gubernatora w Bombayu, gdzie książę, jadąc z Ceylonu, wylądował. Cały szereg uroczystości oficyalnych, gdzie wspaniałe, białe, tropikalne mundury białych mięszały się z lśniącymi od złota i drogich kamieni ubiorami dygnitarzy miejscowych, a nadto rozliczne przyjęcia, rozrywki, zabawy sportowe, przy których zawsze umiano zareżyserować ogromne tłumy krajowców, „podziwiających“ księcia, wypełniły pruskiemu gościowi pobyt w Bombayu. Stamtąd udał się książę w otoczeniu honorowej eskorty angielskiej w dalszą podróż po hołdowniczych państwach krajowców. Odsłoni mu się niewątpliwie świat bogactwa i przepychu, świat jakby z „tysiąca i jednej nocy“. Nie ujrzy wprawdzie nędzy krajowców, ale za to może przekona się dokładnie o sile i potędze Anglii. To zaś może przyda mu się w przyszłości, gdyby, w ślad ojca idąc, chciał kiedy szablą podzwaniać zbyt głośno... Prócz miłych wspomnień takie spostrzeżenie, gdyby je zrobił, z podróży tej, nie najmniejszą i dla księcia i dla Niemiec mogłoby zostać korzyścią.

Kobiety aeronautki.

Niezależnie od coraz piękniej rozwijającej się awiatyki, kwitnie — oczywiście także nie u nas, lecz zagranicą — sport aeronautyczny. Balonów kulistych lub podłużnych, ze sterem lub bez steru, pojawia się coraz więcej, rośnie też liczba aeronautów, uprawiających miłą jazdę napowietrzną z wielkiem zamiłowaniem, zwłaszcza że nie jest ona połączona z tak wielkiem niebezpieczeństwem, jak jazda aeroplanem.

Z tego też powodu nie brak i kobiet, które odważają się na podróż napowietrzną balonem a we Francyi i Niemczech śmiałe aeronautki liczone są już na setki. We Francyi tworzą one nawet swój własny klub, zawiązany pod nazwą „Stella“.

Kobiety aeronautki nie ograniczają się już na charakterze biernych pasażerek. Pragną one stanowisk bardziej samodzielnych i odpowiedzialnych. Zajmują więc miejsca sterników balonów, do czego potrzeba prócz pewnej dozy śmiałości i przytomności umysłu, także specyalnych wiadomości. Obecnie jest w Niemczech jedenaście ukwalifikowanych kierowniczek balonów.

Pierwszą aeronautką, która zdobyła w Niemczech patent kwalifikowanej kierowniczki balonu, była pani Emma la Quiante. Brała ona już kilkakrotnie udział w zawodach lotniczych, zdobywając nagrody i wielki podziw dla swej zręczności i odwagi. Znaną aeronautką jest też pani Abegg, wdowa po zmarłym tragicznie we Wrocławiu profesorze.

Znaną w niemieckim świecie aeronautycznym jest dalej pani Hilda Bamler, która może się poszczycić kilku pięknemi, dalekiemi podróżami napowie-



Nowy gabinet: Dr. Stanisław Głąbiński, nowy minister kolei.

trznemi, z których jedną zakończyła w falach Mozeli, nie odnosząc na szczęście poważniejszego szwanku.

Rekord pod względem ilości podróży zdobyła Brazylijka z rodu, baronowa v. Ende, która w jednym kwartale odbyła 16 jazd napowietrznych, za co przyznano jej nagrodę, ustanowioną przez jedno z towarzystw. Tytuł ukwalifikowanej kierowniczki balonów zdobyła baronowa v. Ende, odbywszy szesnastogodzinną podróż napowietrzną z Berlina do Czech w porze zimowej i do tego nocą.

Z pośród wielu, wielu innych aeronautek niemieckich zasługują jeszcze na osobną wzmiankę siostry Grosse, które wsławiły się w kołach aeronautycznych nie tylko kilku bardzo śmiałemi podróżami, ale i doskonałymi, barwnymi opisami wrażeń z tych podróży. Z opisów tych można nabrać pojęcia nietylko o nadzwyczajnych rozkoszach jazdy napowietrznej, ale i wielkich niebezpieczeństwach



Nowy gabinet: Wacław Zaleski, nowy minister Galicyi.

i trudach, z jakimi taka jazda jest niewątpliwie połączona.

Z biegiem lat liczba aeronautek wzrośnie z pewnością. Spodziewać się też należy, że w przyszłości i wśród kobiet polskich znajdą się odważne miłośniczki sportu aeronautycznego, które odważą się na dalsze, samodzielnie podjęte podróże napowietrzne.

Nowe sanie motorowe.

Przeniesienie automobilu na sanie, utworzenie w ten sposób sanek motorowych, oddawna jest ma-



Podróż niemieckiego następcy tronu: Władze angielskie witają ks. Fryderyka Wilhe[lma] do Bombayu.

rzeniem wielu wynalazców, fabrykantów, a także i miłośników sportu. Właściwie idzie tu tylko o udoskonalenie, o rozwinięcie dotychczasowych pomysłów. Sanie motorowe wynaleziono już bowiem dość dawno, tylko że zaopatrzenie w koła zębate czyniło je raczej parodyą sań niż saniami. Ostatnią próbę nowych sań motorowych, bądź co bądź bardzo oryginalną, przynosimy dziś czytelnikom w illustracyi.



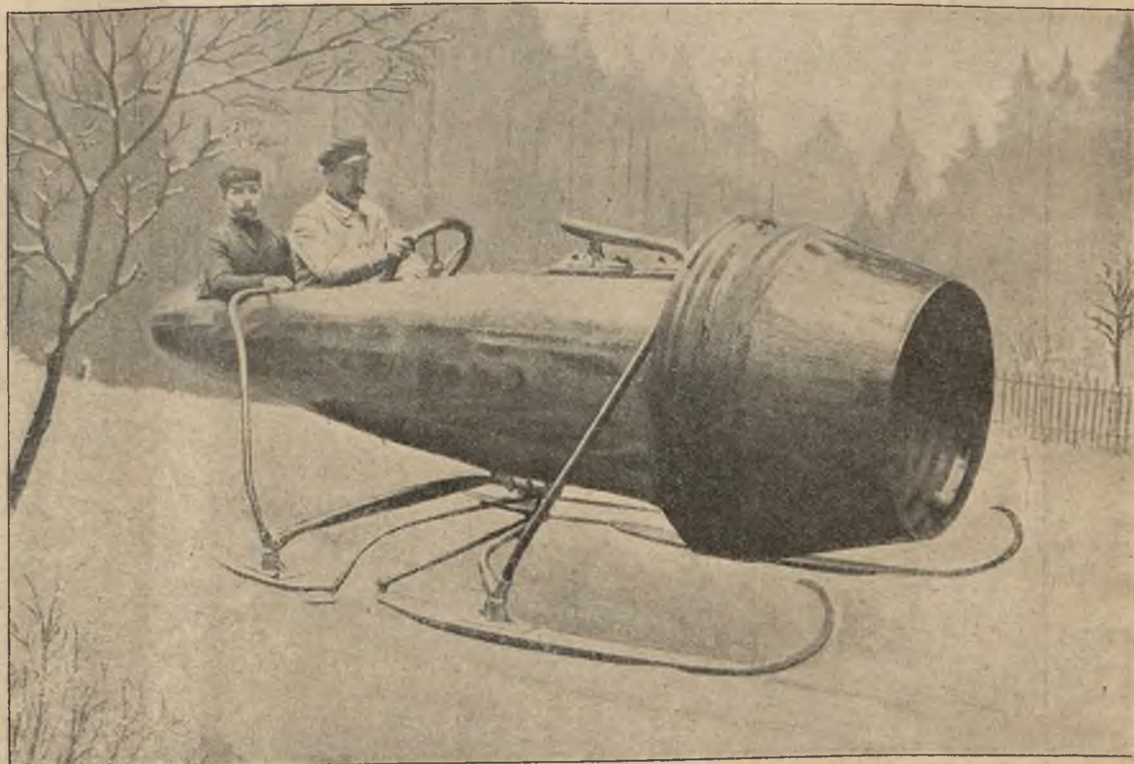
Nowy gabinet: Generał Fryderyk Georgi, mianowany ponownie ministrem obrony krajowej.

Wybudowano je w Paryżu według planów W. ks. rosyjskiego Cyryla.

Na czterech dużych łyżwach ustawiono korpus sań o kształcie potwornej wielkości cygara. Na przodzie znajduje się rodzaj wielkiego, wydrążonego kotła, w którego wnętrzu mieści się duża turbina powietrzna, wyglądająca jak silny wentylator. Dalej we wnętrzu „cygara" ustawiono sześciocylindrowy motor benzynowy o sile 35 do 40 HP. Motor ten wprawia w ruch turbinę i nadaje jej taką chyżość obrotów, że wywiązujący się prąd powietrza ciągnie sanie w sprzyjających warunkach z szybkością dochodzącą do 70 km. na godzinę.

Zresztą urządzenie podobne jak w samochodach. Szofer ma miejsce przed pasażerem, a pod ręką ster kołowy i wszystkie inne potrzebne przyrządy.

Korpus sań przymocowany jest do łyżew za pośrednictwem resorów, skutkiem czego jazda może odbywać się bez silniejszych wstrząśnień, a łyżwy przednie dają się w miarę potrzeby podnosić lub opuszczać, co ułatwia „branie" wyniosłości. Słowem sanie, przy których zastosowano częściowo powietrze jako siłę poruszającą, okazały się wcale praktyczne, pytanie tylko, czy znajdą szersze zastosowanie, czy nie zastąpi ich choćby na tej samej zasadzie oparty prostszy i milszy dla oka wynalazek.



Nowe sanie motorowe: Sanie pomysłu Wielkiego Księcia Cyryla.

Z życia narciarzy w Zakopanem.

Rok bieżący jest przełomowym dla narciarstwa polskiego. Rozwija się ono obecnie niesłychanie, z żywiołową wprost siłą, ogarniając coraz szersze kręgi, opanowując wszystkie warstwy społeczne. Wszystkie polskie towarzystwa narciarskie starają się podołać zadaniu. W bieżącym już sezonie zanotować musimy fakty tak ważne, jak przeobrażenie się dawnego krakowskiego koła karpackiego Tow. Narciarzy w samodzielne „Tatrzańskie Tow. Narciarzy", budowę ogromnego schroniska narciarskiego w Sławsku (Beskidy Wschodnie) przez Karpackie Tow. Narciarzy we Lwowie, wreszcie otwarcie przez Zakopiański Oddział Narciarzy Tow. Tatrzańskiego pierwszego narciarskiego Schroniska w Tatrach i wogóle w Polsce.

Schronisko leży obok hali Pysznej (ok. 1350 m. n. p. m., na końcu Dol. kościeliskiej). Stanowi je na razie jedna izba, uszczelniona należycie, zaopatrzona w piec i drzewo opałowe, koce, sienniki i najniezbędniejsze meble i sprzęty. Schronisko obliczone jest na 6 osób, nocować jednak może więcej. W pobliżu znajdują się bajeczne, ogromne, prawie że nieznane tereny narciarskie. Codziennie prawie idą partye narciarzy na Pyszną. Między innemi grupa wybitnych krakowskich i zakopiańskich narciarzy urządziła sobie Sylwestra w nowem schronisku, a nazajutrz wycieczkę na przełęcz Pyszniańską.

O rozwoju narciarstwa świadczą również kursy jazdy na nartach. W roku bieżącym Tatrzańskie Tow. Narciarzy urządziło w Zakopanem swój pierwszy kurs, cieszący się dużą frekwencyą. IV kurs doroczny jazdy na nartach Zakopiańskiego Oddziału Narciarzy Tow. Tatrzańskiego dał rezultaty nie



...dzielnego strażaka: Oddział miejskiej straży pożarnej w Podgórzu, z naczelnikiem J. Illgiem i odznaczonym strażakiem Jakóbem Wilczkiem. (Do art. na str. 10.)

oczekiwane. W kursie tym wzięło udział 44 osób. Połowa była przyjezdnych, z tych 16 osób z Krakowa, 4 z Warszawy, 1 ze Lwowa i 1 z Litwy. Pomiędzy mieszkańcami Zakopanego było 2 przewodników tatrzańskich. Zasługuje na uwagę liczniejszy, niż zazwyczaj, udział kobiet (8) i artystów malarzy (4). Kurs przez cztery dni prowadzili z prawdziwem oddaniem się sprawie pp. Zaruski, przewodniczący Oddziału i S. Zdyb.



Kobiety aeronautki: Aeronautka niemiecka dr. Gocht (X) obok kulistego balonu.



Kobiety aeronautki: Profesorowa Abegg (X) w koszu balonu.

Po skończonym kursie odbyła się wycieczka kursowa na halę Kondratową (ok. 1350 m. n. p. m.) w której wzięło udział 41 osób (40 na nartach).

Jubileusz „Gwiazdy“ w Przemyślu.

Dnia 8 b. m. obchodziło jedno z najstarszych stowarzyszeń polskich w Przemyślu, Towarzystwo rękodzielników „Gwiazda“, 40-letni jubileusz istnienia. Rocznicę tę niezwykłą a świadczącą o dużej żywotności Towarzystwa, uczczono uroczystym obchodem, który rozpoczął się o godz. 11 przed południem nabożeństwem w kościele pojezuickim, odprawionem przez ks. infułata Federkiewicza, poczem we własnym lokalu odbyło się uroczyste zebranie członków, delegatów wybitnych i osobistości z miasta. Po przemowie prezesa p. Józefa Jarolima, burmistrza miasta dra Dolińskiego oraz biskupa ks. Pelczara, który w podniosłych słowach wskazał drogi, jakiemi musi dążyć ku swemu odrodzeniu warstwa rękodzielnicza w Przemyślu, nastąpił tradycyjny opłatek. W czasie opłatka podniesiono w licznych przemówieniach zasługi inżyniera Krzena, dra Waygarta, dra Tarnawskiego oraz M. Osińskiego, częścią założycieli, częścią dziś jeszcze czynnych członków Towarzystwa.

Z okazyi 40 lecia inż. Krzen złożył 100 kor., zaś profesor Żelak w Przemyślu 1000 kor. na cele Towarzystwa.

„Gwiazda“ przemyska przez czterdzieści lat swego istnienia zadaniom swoim odpowiedziała w zupeł[ności]. Z wkładek członków rósł jej majątek, obrac[any] na cele statutem naznaczone, stanął także dom w[ła]sny, w którym po pracy rękodzielnik rozrywkę [i] [illegible] i wytchnienie. Nie głośną jest jej dz[ia]łalność ale wytrwałą i dlatego stała się ogniskiem skupiającem mieszczaństwo przemyskie, stała się jedną placówką więcej, polskość naszą na tej [nad]sanowej chroniącą rubieży. I dlatego w tym r[oku] jubileuszowym bodaj wspomnienie, bodaj wzmian[ka] jej się należy. A ponadto pomyślnego nadal rozw[oju] życzenie.



Oblężenie anarchistów w Londynie: Gwardya szkocka, strzelająca z ulicy do anarchistów, odpowiadających jej strzałami rewolwerowymi z okien sw[...]

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącemi sosnami.

(Ciąg dalszy).

7

W chwili, gdy się nad tem zastanawiał, jakby tu zacząć rozmowę, zawadził o jego kolana mały chłopaczek, ślizgający się na saneczkach; Sweetwater o mało się nie przewrócił, dziecko upadło i uderzyło w wielki krzyk.

Było to dziecko tej właśnie kobiety, gdyż rzuciła się ku furtce, która się jakoś mocno zacięła. Sweetwater, widząc to, podziękował bogom. Lubił dzieci i umiał się z niemi obchodzić, to też, pochwyciwszy malca na ręce, uspokoił go i popieścił i ostatecznie z takim wesołym uśmiechem tryumfu oddał go matce w ramiona, że odrazu zapanowało zaufanie między nimi i zaczęła się rozmowa.

Sweetwater miał w kieszeni dowcipny, drobny przyrząd gospodarski, najnowszy wynalazek, który pokazywał wszędzie wzdłuż drogi, dla nadania sobie pozoru wędrownego ajenta. Zapytał, czy i jej nie mógłby go pokazać... tylko, że tak zimno stać na drodze... Możeby mu pozwoliła wejść i pokazać, jak przy pomocy tej łatwej do używania maszynki, zmniejsza się trud pracy i zamienia niemal w zabawkę?

Wszystko to, co mówił, wydało mu się tak śmiesznem wobec spokojnych i rozumnych oczu tej kobiety, że roześmiał się sam z własnych słów, a dziecko przywtórzyło mu śmiechem, a w chwilę potem i matka. I jakiś taki miły odrazu wytworzył się nastrój, że kobieta mimowoli cofnęła się, podczas gdy on furtkę otwierał i tylko idąc ku domowi, zauważyła:

— Wypatrywałam właśnie mojego męża. On wróci lada chwila, ale wątpię, czy będzie dbał o ten wynalazek, mający mi umniejszyć pracy, jeżeli to będzie drogo kosztowało!

Sweetwater, który już ręką sięgał do kieszeni, cofnął ją żywo.

— Wypatrywała pani powrotu męża? Czy często pani wygląda go tak, stojąc na progu?

Zdziwione oczy kobiecy zmierzyły go takim wzrokiem, że wprawiłby w zakłopotanie najnatrętniejszego komiwojażera; ten człowiek jednak z innej był gliny.

— Bo jeżeli tak — ciągnął dalej niezmięszany, z dobrodusznym uśmiechem, który ją jeszcze korzystniej usposobił — bo jeżeli tak, cóż jabym dał za to, gdyby tu pani była stała we wtorek w nocy, wtedy, kiedy tędy pewne sanki przejeżdżały, w górę, ku miastu!

Była to kobieta, która umiała zapanować nad sobą, ta żona majstra mechanika w jednej z wielkich pobliskich fabryk; przy tych słowach jednak drgnęła i podniosła brwi i nawet nie uważała, że dziecko ciągnie ją ku drzwiom kuchni.

Sweetwater, wrażliwy na każde zmiany w ludzkiej twarzy, modlił się o to, by mąż się choć o kilka minut jeszcze spóźnił, pragnął bowiem kuć to żelazo, póki jeszcze gorące.

— A więc pani istotnie wyglądała wtedy — zaryzykował. — I widziała pani te sanki i tego konia... Co za szczęście! To może ocalić życie człowiekowi!

— Ocalić? — powtórzyła, cofając się o parę kroków i ciągnąc dziecko za sobą. — Ocalić życie człowiekowi? Co pan rozumie przez to powiedzenie?

— Nie wiele, jeżeli to inne sanki, inny koń i o innej godzinie. Ale jeżeli to był ten koń i te sanki, które wyjechały o dziesiątej lub o wpół do jedenastej z pod Szumiących Sosen, wtedy to może stanowić o życiu lub śmierci człowieka, który teraz cierpi więzienie pod strasznym zarzutem morderstwa.

Chwyciwszy dziecko na ręce, wsunęła się do kuchni i usiadła z niem na pierwszem najbliższem krześle.

Sweetwater poszedł za nią i stanąwszy w progu, nie natrętnie, lecz cierpliwie czekał, co ona powie. Dymiące kociołki i stół nakryty przypominały, że wkrótce przyjść ma nieobecny; ona jednakże zapomniała o mężu; zapomniała o wszystkiem, wzruszona i wzburzona.

— Kto pan jesteś? — zapytała w końcu. — Pan mi nie powiedziałeś, kim pan właściwie jesteś.

— Nie, pani, i bardzo za to przepraszam. Lękałem się, że gdybym pani bez przygotowania powiedział, kim jestem, zdziwiłoby to panią niemile, może przestraszyło. Jestem detektywem, starającym się wykryć prawdę w sprawie, o której wspomniałem. Mam przypuszczenie, że bardzo ważny świadek tego, co się tam stało, przejeżdżał tędy owej nocy i o owej godzinie. Szukam poparcia i dowodu dla tego przypuszczenia mojego. Czy może mi pani w tem dopomódz?

Wrażliwość i szybkie ocenianie charakteru tych, do których się zbliżał, to były jedne z najcenniejszych właściwości Sweetwatera. Żadne pozłacanie prawdy, żadne sztuczki i wybiegi nie byłyby w obec tej kobiety tak poskutkowały, jak to proste pytanie. Przypatrzywszy mu się uważnie z ponad głowy dziecka, równie poprostu i spokojnie odpowiedziała:

— Mogę panu trochę pomódz. Pan uważa, że powinnam, a ja się nigdy od powinności nie uchylam. Koń i sanki przejechały rzeczywiście tędy w drodze ku miastu, w górę, ostatniego wtorku w nocy, około jedenastej. Pamiętam godzinę, gdyż wyczekiwałam męża każdej chwili, tak jak teraz. Miał jakąś pilną robotę tego wieczora i liczył, że go to zatrzyma do jedenastej, a może nawet kwadrans dłużej. Miałam czekać z kolacyą do kwadrans na dwunastą. Chcąc mu zrobić niespodziankę, ubiłam ciasto biszkoptowe i właśnie wlałam je w formę, gdy usłyszałam, że godzina bije. Lękając się, czy czasem mąż nie wróci, zanim się ciasto upiecze, wsunęłam formę do pieca i wybiegłam wyjrzeć. Śnieg padał gęsty, droga wyglądała biało i pusto, ale gdym tak stała i patrzyła, ujrzałam nadjeżdżające sanki, które zrównawszy się z naszą bramą, podjechały nagle, jak gdyby się coś stało...

— Przestraszona, gdyż zawsze boję się o męża, którego zajęcie jest bardzo niebezpieczne, podbiegłam z gołą głową do bramy i dopiero wtedy zrozumiałam, dlaczego ten, który siedział w sankach, takie mi znaki dawał. Wiatr zwiał mu czapkę; leżała pod płotem, tuż przedemną. Lubię zawsze ludziom usłużyć, to też podniosłam ją szybko i odniosłam właścicielowi. Rzucił mi jakieś słowo podziękowania i nawetbym tego zajścia nie pamiętała, gdyby nie to morderstwo i gdyby...

Zawahała się, palce niespokojnie przesunęła po włosach dziecka, spojrzała znów na Sweetwatera, wyczekującego jej słów i z przykrością wyjąknęła:

— I gdyby nie to, że poznałam konia.

Sweetwater odetchnął głęboko; jakżeż szczęśliwie trafił!

Ponieważ zaś zdawało się, że kobieta już dalej mówić nie zamierza, zapytał z takim spokojem, na jaki się tylko mógł zdobyć:

— A nie poznała pani tego, który jechał?

Odpowiedziała krótko, ale szczerze.

— Nie. Śnieg dął prosto w oczy. Zresztą miał podniesiony kołnierz, w którym mu głowa tonęła tak, że prawie jej widać nie było.

— Ale koń...

— To był koń, którym tędy często jeżdżą. Wolałabym nie mówić panu, czyj. Nikomu nie powiedziałam, nawet mężowi, że widziałam go na drodze tej nocy. Jakoś nie mogłam. Ale jeżeli to ma ocalić życie człowieka i wyjaśnić, kto zabił tę dobrą i zacną panią, niech pan zapyta kogokolwiek w mieście, w czyjej stajni znaleść można siwego konia z wielką czarną łatą na lewej łopatce, a będzie pan to wiedział, co i ja... Czy to nie dosyć, proszę pana? Ja teraz muszę zacząć wystawiać obiad?

— Tak, tak, to mi prawie wystarczy. Jeszcze tylko na jedno niech mi pani odpowie. Czy ta czapka była tego fasonu, który nazywamy dżokejką? Jak ta moja, proszę pani?

I wyciągnął własną swoją, którą trzymał za plecami.

— Tak, zdaje mi się, że tak. O ile pamiętam, tak wyglądała. Myślę, że nie wyszło jej to na dobre, że ją brałam w ręce. Musiałam ją szybko schwycić, więc przygięłam daszek, już nie mówiąc o tem, że usmarowałam ją mąką.

— Jakto?

Sweetwater porwał się ku drzwiom, ale przystanął, uderzony tą uwagą.

— Robiłam te biszkopty i ręce miałam białe od mąki — wytłómaczyła poprostu. — Ale to się da łatwo wyczyścić i szkoda niewielka.

— Ależ naturalnie! — przytwierdził.

I uśmiechnąwszy się do malca, za którego pośrednictwem zdobył tego, być może, nieocenionego świadka, stawił jeszcze jedno pytanie. Zapytał ją, jak się nazywa.

— Eliza Simmons — odpowiedziała.

I na tem zakończył się interwiew.

Gdy Sweetwater wychodził z bramy, nadchodził właśnie oczekiwany mąż. Nasz detektyw równie zawsze dbały o właściwe zakończenie, jak o przeprowadzenie sprawy, zawołał, mijając go w przejściu:

— Proponowałem pani nadzwyczajnie praktyczny mój wynalazek... Ale nic z tego!

Tamten spojrzał, uśmiechnął się i wszedł w bramę z miną człowieka uszczęśliwionego z żony, dziecka i miłego domu.

Sweetwater szedł dalej pod górę. Po drodze napotkał remizę. Zatrzymując się na swój dobroduszny sposób, wdał się w gawędę z człowiekiem, kręcącym się w bramie wjazdowej. Zanim odszedł, stawił mu kilka pytań.

— Czy jest tu w mieście jaki siwy koń?

— Tak jest, jeden tylko.

— To ja go pewnie widziałem... Czy to ten z czarną łatą na lewej łopatce?

— Ten sam.

— Czyj on jest? Zaciekawił mnie ten koń. Wygląda jak koń cyrkowy, co to umie sztuki.

— Dlaczego? Ja nie rozumiem. Ten koń należy do bardzo porządnych ludzi. Musiał pan o nich słyszeć, bo tylko o nich mówią. Tam u nich dziś pogrzeb...

— Pogrzeb Miss Cumberland? — zawołał Sweetwater, nagle zelektryzowany.

— Tak, Miss Cumberland... Pan zapewne słyszał to nazwisko?

— A jakże, słyszałem.

Ton był obojętny, słowa urywane, ale serce detektywa skakało z radości.

Zwrócił się teraz w stronę eleganckiej dzielnicy miasta, wieńczącej samo wzgórze.

XI.

W WOZOWNI.

W kwadrans później, idąc pięknie zadrzewioną aleją, Sweetwater stanął przed otwartą bramą, której strzegł policyant. Pokazawszy kartę swoją, wszedł na długą, zakręconą nieco drogę zajezdną. Idąc, przyglądał się domowi. Nie był to dom okazały, ale niezmiernie miły. Niski, obrośnięty dzikiem winem, otoczony gęstwiną krzewów, które nawet zimą dodawały mu dużo uroku, budził wrażenie wygody raczej niż zbytku i nic w nim nie nasuwało na myśl tej ponurej tragedyi, która w ostatnich dniach dotknęła jego mieszkańców.

Ceremonia pogrzebowa naznaczona była na godzinę trzecią, a teraz już było wpół do trzeciej. Dochodząc do końca drogi, Sweetwater ujrzał pierwszy z długiego rzędu powozów, nadciągających od strony ulicy.

— Rad jestem, że mam do roboty w stajni — pomyślał. — Ale jakżesz się stangret nazywa? Muszę sobie przypomnieć. Ach, Zadok! Zadok Brown!

Tu napotkał drugiego policyanta, stojącego na straży u bocznego wejścia. Zamienił z nim słów kilka i minął go; przedtem jednakże przyjrzał się dobrze drzwiom i szerokiej werandzie, oddzielającej drzwi od podjazdu.

— Założyłbym się, że ta weranda okaże się najwięcej zajmującą częścią całego domu — pomyślał, zauważywszy, że weranda ta leży tak blisko stajni i że tak łatwo wsiąść z niej do powozu, zajeżdżającego od podjazdu.

Zauważył tu i coś innego jeszcze, co mocno go zajęło. W jednem z górnych okien, wychodzących na tę stronę, błysnęła mu twarz i postać pielęgniarki chorej, którą poznał po czepeczku i białym fartuchu. Tu zatem wychodził pokój chorej. Sweetwater mimowoli uciszył kroki swe i szedł jak najostrożniej, choć dobrze wiedział, że uszu tych nieprzytomnych najgłośniejszy hałas nie doleci.

— Wyszedłszy za węgieł domu zauważył, że drzwi stajni wprawdzie są zamknięte, ale że okno od strony ogrodu otwarte. Obejrzawszy się więc na okna kuchenne i przekonawszy się, że nikt stamtąd za nim nie śledzi, przybliżył się do okna stajennego i zajrzał.

Plecami do niego zwrócony siedział mężczyzna i czyścił jakiś szczegół przy uprzęży. Był to prawdopodobnie Zadok, stangret. Sweetwater, którego w tej chwili nie tyle sam stangret obchodził, zapuścił wzrok w głąb stajni i nagle zmięszał się trochę, ujrzawszy w oknie naprzeciw głowę i ramiona Hexforda; i ten również zaglądał tu widocznie w tymsamym zamiarze. Zarumienili się, spotkawszy się wzrokiem i cofnęli się — po chwili jednak każdy wrócił na swe stanowisko. Obaj słyszeli o siwej klaczy i chcieli ją obejrzeć.

W stajni były trzy przegrody, w każdej przegrodzie stał koń. Z lewego brzegu w przegrodzie swojej stała rosła siwa klacz z oryginalną czarną łatą na lewej łopatce. Na widok tego charakterystycznego znaku spotkały się spojrzenia obu detektywów. Hexsford położył palec na ustach, ale Sweetwater nie potrzebował wcale tej wskazówki. Stał, cicho jak własny cień, podczas gdy stangret coraz mniej energicznie spełniał swą robotę, aż wreszcie przerwał ją, opuściwszy ręce, chyląc się

z wyrazem głębokiego smutku. Gdy zaś podniósł głowę, poczuwszy prawdopodobnie czujną obecność czyjąś, zdziwili się, ujrzawszy łzy na jego twarzy. W tejże chwili zerwał się na nogi, tak, że uprząż z brzękiem upadła na ziemię.

— Kto tam? — zapytał z odcieniem gniewu. — Czy to nie można wejść drzwiami, zamiast podkradać się w ten sposób i podglądać człowieka?

To mówiąc, szybko otarł wilgotne jeszcze policzki.

— Ja bardzo przywiązany byłem do mojej młodej pani — dodał, tłumacząc się widocznie z tego, co sobie poczytywał za słabość. — Nie przypuszczałem, że potrafię płakać, a jednak widzę, że płakać po niej muszę.

Tak Hexford, jak Sweewater odeszli od okien, a za chwilę obaj spotkali się przy drzwiach stajni.

— Miałeś pan szczęście? — szeptem spytał Hexford.

— Tak dosyć, dlatego właśnie tu przyszedłem.

— Do tego domu, czy do tej stajni?

— Do stajni.

— Słyszałeś pan, że koń wychodził tej nocy?

— Tak jest, wychodził.

— A kto powoził?

— Ach, to pytanie.

— Ten człowiek panu nie powie.

— Ale pomimo to chciałbym z nim pomówić.

— Nie było go tu przez całą ową noc. Był na zabawie. Wie tylko, że koń wychodził w nocy.

— Ale ja chcę z nim pomówić.

— Czy mogę wejść także? Nie będę panu przeszkadzał. Nie mam co robić przez tę parę minut.

— Jak pan sobie życzy. Nie mam się z czem kryć — przed panem w każdym razie.

Co zresztą nie było ścisłą prawdą; ale Sweetwater ścisłej prawdy trzymał się tylko w sprawozdaniach, które zwierzchnikom swoim składał.

Hexford otworzył drzwi stajni i weszli obaj. Stangreta widać nie było, usłyszeli tylko, że chodzi na górze, mrucząc coś do siebie nie nazbyt zachęcająco.

Widocznie nie był w humorze do przyjmowania gości.

— Zaraz zejdę! — zawołał, usłyszawszy ich kroki.

Hexford poskoczył do koni. Sweetwater zatrzymał się u wejścia i nader uważnie rozejrzał dookoła. Nic tu nie uszło jego wzroku. Zajrzał nawet do kosza ze śmieciami i właśnie zamierzał z otwartej szafki wyjąć kawałek utrąconej butelki, gdy Brown ukazał się na schodach, ubrany w strój odświętny, niosąc w ręku wiązankę świeżych róż cieplarnianych.

Zatrzymał się, gdy Sweewater odwrócił się od szafki ku niemu, w tej chwili jednak ruszył dalej.

— To dziwna szkapa — odezwał się Hexford z drugiego końca stajni. — To oczywiste, że jeżeli nią jeżdżą, to nie dla jej urody.

— Rącza jest i mądra przytem — mruknął stangret. — Można jej darować te łaty. Kto to jest taki? — mruknął, lekkim gestem ukazując obcego sobie intruza.

— To jeden z naszych — odpowiedział Hexford, wzruszając ramionami. — Nas obu interesuje ten koń.

— Czyby nie można kiedyindziej? — prosił stangret z poważnem spojrzeniem na kwiaty, trzymane w ręku. — Już prawie czas na pogrzeb, a mnie w tej chwili tak trudno gadać, doprawdy, tak trudno panowie!

— Nie będziemy was zatrzymywali. — To Sweetwater przemówił. — Wystarczy nam towarzystwo siwki. Ona wiele, wiele wie, ta szkapka. Widzę to po jej oczach. Ja rozumiem konie; pogadamy sobie z nią, gdy wy pójdziecie.

Brown niespokojnie spojrzał na Hexforda.

— Lepiejby zrobił, gdyby jej nie dotykał — przestrzegł. — Nie zna konia i koń go nie zna.

— On jej nie dotknie, nie bójcie się — zapewnił go Hexford. — Ale że ona wygląda, jakby rozumiała, to prawda. Możeby nam chciała co powiedzieć. Ona podobno chodziła owej nocy? Słyszałem, żeście to mówili. To ciekawe! Poczem wyście to poznali?

— Jużem to powtarzał i powtarzał aż do znudzenia! — odpowiedział Brown z nagłem uniesieniem. — Już też to się nazywa dręczyć człowieka nie w porę! Proszę patrzeć. Ludzie się schodzą. Muszę już iść. Biedna moja pani! i biedna Miss Karmela! Człowiek sercem do nich przyrósł, rozumiecie to panowie? sercem do nich przyrósł — i to ciężkie ich zmartwienie gryzie człowieka przeciw...

Ból jego tak był szczery, że Hexford już skłonny był go puścić, ale Sweewater z bystrem spojrzeniem wtrącił swoje słowo i przykuł stangreta do do miejsca.

— Szkapka mi właśnie opowiada o tem — rzekł ze znaczącym uśmiechem. — Nie mam jej dotykać? O proszę, patrzcie! — Otoczył ramieniem kark konia i prosto ciągle patrzył w mądre jego, ogniste oczy. — Czy mam powtórzyć, co ona mi mówi?

— Bardzo będę rad, jeżeli pan to, co ona wie, potrafi przelać w słowa — oświadczył Zadok. — Wychodziła owej nocy, to ja wiem, tak jak musiałby poznać i wiedzieć każdy stangret, któryby nie wrócił do domu pijany jak nieboskie stworzenie.



Z pytającym wzrokiem podnosił ją teraz w górę.

Ale gdzie była i kto nią powoził, to już niech pan z niej wyciągnie, bo tego już ja nie wiem...

— A ona wiedziałaby, myślicie? — zapytał nagle Sweetwater, wskazując przez drzwi otwarte ku domowi — ona, ta wasza pani, którą wnet chować będą? Czy mogłaby to powiedzieć, gdyby ręka mordercy ust jej nie zamknęła?

— Ona! — Cicho, ze zgrozą i z wielkiem wzruszeniem wymówił to słowo ten człowiek prosty. — Na to ja nie umiem odpowiedzieć. Skąd my możemy wiedzieć, co ona wiedziała? Ten, który ją zamordował, jest uwięziony. On mógłby coś powiedzieć. Dlaczego jego pan nie pyta?

— Dla bardzo prostej przyczyny — odpowiedział Sweetwater dobrodusznie. — Zaaresztowano go na miejscu; tym sposobem nie on konia odprowadził do domu, nie on go wyprzągł, nie on wprowadził do stajni, nie on drzwi od stajni zamknął i klucz powiesił na swojem miejscu w kuchni. Zrobił to ktoś inny.

— To prawda, ale czegóż to dowodzi? Ze siwka wychodziła, ale za innym interesem, nie za tym, który zakończył się krwią i morderstwem.

Tak brzmiała niespodziewana odpowiedź stangreta.

— Czy istotnie tak było? — szepnął Sweetwater do ucha koniowi. — Ona nie ma ochoty się zdradzić — uśmiechnął się zagadkowo do Zadoka. — Ona coś ukrywa... A wy nie? — dorzucił, szparko podchodząc do Zadoka.

Stangret zamarszczył się i szybko cofnął o krok w tył; w tejże chwili jednak skoczył z pasyą na Sweetwatera, lecz widok kwiatów, które trzymał w ręku, przyzwał go do przytomności, tak że opuścił rękę i spokojnie oświadczył:

— Pan przekracza swoją powinność. Nie wiem, kto pan jest i czego pan odemnie chce, ale to wiem, że pan przekracza swoją powinność.

— On ma słuszność — szepnął Hexford. — Lepiej dajmy mu już pokój. O! otóż jedna z dziewcząt daje mu znaki.

— Niechżeż idzie i owszem, ale niechżeż mi wpierw powie, skąd mu się wziął gust do tej właśnie marki whisky?

Sweetwater podszedł do szafki i wyciągnął stamtąd dolną połowę stłuczonej butelki, która zaraz po wejściu ściągnęła jego uwagę; z pytającym wzrokiem podnosił ją teraz w górę, za plecami odchodzącego stangreta.

Hexford przyskoczył i razem zbadali nieoddartą jeszcze etykietę, a była to etykieta rzadkiego i bardzo kosztownego trunku, jaki właśnie był zginął z klubowej piwnicy.

— To ciekawe — mruknął Hexford do ucha kolegi detektywa. A potem, pospieszywszy parę kroków za Zadokiem, zawołał:

— Odpowiedźcie mi jeszcze na to pytanie: Skąd macie ten kawałek stłuczonej butelki? Takiego whisky przecież wam nie dają?

— To prawda, że mi go nie dają i wcale go też nie pragnę — odpowiedział stangret, wbrew ich nadziei, wcale nie zmięszany. — A tę skorupę znalazłem w śmietniku i wyciągnąłem ją stamtąd, by w tem trzymać lakier. Spodobał mi się fason butelki.

— Choć tak stłuczona?

— Nic nie szkodzi, dobra i tak.

— Doprawdy? No mniejsza o to, możecie już iść. Zamkniemy za was drzwi od stajni.

— Wolałbym sam zamknąć i odnieść klucz.

— No dalej więc; my także idziemy na pogrzeb. Chciałbyś pan pójść? — szepnąłem do Sweetwatera.

Sweetwater z zapałem przyjął propozycyę. Niczego w świecie w tej chwili nie pragnął goręcej.

XII.

„LILA! LILA!“

— Wejdźmy bocznem wejściem — zaproponował Sweetwater, gdy zbliżyli się do domu. — I proszę, umieść mnie pan tak, bym wszystko mógł widzieć, nie będąc widziany. Nie pragnę zwracać na siebie uwagi i wolałbym, by nie wiedziano, że należę do policyi.

— W takim razie wejdźmy osobno — zadecydował Hexford. — Znajdź pan sobie miejsce sam; to nie będzie trudno. Nie należy się spodziewać licznego tłumu, wobec stanu zdrowia Miss Cumberland.

Sweetwater skinął głową i wsunął się bocznem wejściem.

Znalazł się odrazu w wąskiej sieni, z końca której wchodziło się do obszernego pokoju. Było tam widać parę osób, a w pierwszej chwili i on chciał tam pójść; widząc jednak, że ma jeszcze parę minut czasu, postanowił z nich skorzystać i rozejrzeć się po sieni, bo ta dla pewnych powodów specyalnie go interesowała.

Z sieni na górę prowadziły schody i tędy też prowadziło najbliższe wejście do pokoju Karmeli. Obok schodów znajdowało się wieszadło, na którem wisiało kilka męskich okryć i kapelusz.

Sweetwator obejrzał okrycia i zauważył, że jedno z nich miało wysoko podniesiony kołnierz, obok jednak wisiał zwykły kapelusz, nie czapka dżokejska. Stół stał tuż przy wieszadle, a na stole leżała szczotka do czyszczenia rzeczy i parę mało znaczących przedmiotów; mając jednak dokładną pamięć, przypomniał sobie o tych kluczach, które służąca znalazła gdzieś w domu i położyła na stole w sieni. Czy to w tej sieni, czy to na tym stole?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Krwawy napad bandytów na proboszcza.

(Do illustracyi tytułowej i zdjęć fotogr.).

Od niedawnego czasu zagłębie śląskie, gdzie gromadzą się setki różnych egzystencyi, stało się terenem, gdzie nikt nie jest pewnym swego życia i mienia. Krwawe porachunki osobiste, przy pomocy rewolweru lub sztyletu, to wypadki codzienne, napady bandyckie mnożą się z dnia na dzień. Stosunki, jakie tu zapanowały, skłoniły wreszcie rząd austryacki do przedsięwzięcia energicznych kroków. Wiele osób pochodzących z zagranicy wydalono, przeprowadzono też mnóstwo rewizyi domowych i osobistych i przy tej sposobności skonfiskowano cały arsenał broni, głównie rewolwerów i browningów. Sanacyą bezpieczeństwa publicznego kierował specyalnie w tym celu wydelegowany z Wiednia komisarz policyi a choć postępował bardzo energicznie, tak że nawet odbiło się to echem w petersburskiej dumie, gdzie wniesiono interpelacyę w sprawie wydalania masowego rosyjskich poddanych z zagłębia morawsko-ostrawskiego, nie na wiele się to przydało. Bandytyzm jak dotąd kwitnął, szerzy się ciągle dalej.

Dowodem tego zbrodniczy napad, dokonany w ubiegłym tygodniu na proboszcza w Dziedzicach, księdza Macoszka, przechodzący swą śmiałością wszystkie zajścia tego rodzaju z ostatnich czasów, kiedy to i na naszym gruncie pojawili się bandyci i poczęli terroryzować spokojnych i Bogu ducha winnych mieszkańców.

Z nastaniem zmroku weszło na plebanię, do pokoju, w którym siedział ks. Macoszek, dwóch ludzi, jeden wysoki, drugi znacznie niższy; trzeci pozostał przed domem na straży. Proboszcz zajęty był właśnie przeglądaniem ksiąg i zapisków. Spostrzegłszy wchodzących, zwrócił się ku nim, oni zaś momentalnie dobyli browningów i zagrozili mu śmiercią w razie najmniejszego ruchu. Gdy zażądali wydania sobie pieniędzy, ks. Macoszek, choć widział skierowaną ku sobie broń, zerwał się z miejsca, co widząc bandyci dali do niego po jednym strzale. Oba były celne, a kule utkwiły w głowie nieszczęśliwej ofiary. Bezprzytomny proboszcz runął na ziemię, bandyci zaś obawiając się, by strzały nie zaalarmowały domowników, rzucili się do kasy, która stała otworem i zrabowawszy pewną ilość gotówki, wedle informacyi domowników około trzech tysięcy koron, zbiegli w niewiadomym kierunku.

Zaniepokojona strzałami służba wtargnęła w tej chwili do pokoju proboszcza, gdzie przedstawił się jej grozą przejmujący widok. Na podłodze, w kałuży krwi, leżał charcząc śmiertelnie zraniony proboszcz, porozrzucane papiery świadczyły o dokonanym rabunku. Na razie rzucono się na ratunek nieszczęśliwemu i zawezwano lekarza, który uznał stan rannego za nader groźny i polecił bezzwłocznie odwieść go do szpitala powszechnego w Bielsku, celem dokonania operacyi.

Z zajęcia się domowników ratunkiem ks. Macoszka skorzystali bandyci i zbiegli przez parkan, oddzielający dom proboszcza od cmentarza. Jeden z bandytów poranił się widocznie przy przełażeniu, znaleziono bowiem ślady krwi na śniegu. Odciski butów uciekających prowadzą w stronę kopalni.

Według opinii żandarmeryi, napad urządzić mogli górnicy, wydaleni z pracy z Morawskiej Ostrawy, którzy też, po dokonaniu zbrodni, umknęli prawdopodobnie do Prus. Weronika Heller, służąca księdza proboszcza, która widziała uciekających bandytów, twierdzi, iż mówili po polsku, mieli niegolone brody, czarne kapelusze, czerwone krawaty i czarne surduty.

W chwilę po napadzie rozpoczęto pościg za bandytami, który jednak nie dał właściwie żadnego rezultatu. Aresztowano wprawdzie kilka podejrzanych osobników, od jakich roi się w okolicach Dziedzic i Morawskiej Ostrawy i mają oni być skonfrontowani z Hellerówną, jak się jednak zdaje, nie są



Krwawy napad bandytów na proboszcza: Widok kościoła i plebanii w Dziedzicach. *(Specyalne zdjęcie Nowości Illustr.)*



Krwawy napad bandytów na proboszcza: Pokój na plebanii w Dziedzicach, gdzie dokonano morderczego zamachu na ks. Macoszka; † krwawe plamy na dywanie, gdzie stał ks. Macoszek.

to sprawcy morderczego zamachu, choć podobno dopytywali się w okolicy o stosunki na plebanii. Śledztwem na miejscu kieruje dr. Gans, komisarz policyi z Morawskiej Ostrawy.

Stan zdrowia ranionego ks. Macoszka był ciągle bardzo groźny, choć lekarze nie tracili nadziei utrzy-



Krwawy napad bandytów na proboszcza: Ś. p. Ks. Antoni Macoszek.

mania go przy życiu. Mimo bardzo starannej opieki lekarskiej, uległ jednak ks. Macoszek ciężkim ranom i po dniach kilku bolesnych cierpień zakończył życie, pozostawiając po sobie pamięć zacnego kapłana i gorącego patryoty.

Natychmiast po nadejściu do Krakowa wiadomości o zbrodniczym napadzie, wysłaliśmy na miejsce naszego fotografa redakcyjnego, który sporządził w Dziedzicach zdjęcia, zamieszczone w niniejszym numerze.

Wielka eksplozya w Nowym Jorku.

Wielki przemysł wielkie za sobą pociąga ofiary. Takiej liczby katastrof, tylu ofiar w życiu ludzkiem, o jakich obecnie donoszą pisma codzienne całego świata, dotychczas nigdy nie było i dlatego kto wie, czy nie słusznem jest twierdzenie, że mniej krwawe są najzaciętsze wojny, od tego strasznego a powolnego pokłosia warsztatów pracy, do którego tak się powoli przyzwyczailiśmy, że już tylko wielkie katastrofy zwracają na siebie uwagę.

Jedna z takich, z wyjątkowo wielką liczbą ofiar i ogromnem spustoszeniem, zdarzyła się 18 grudnia ub. r. w Nowym Jorku. W tamtejszych zakładach centralnej kolei elektrycznej nastąpiła eksplozya w rezerwoarze gazu, przeznaczonego do oświetlania wagonów. Przyczyną było przeskoczenie iskry dynamo.

W jednej chwili rozległ się straszliwy huk; siła wybuchu rozerwała żelazne wiązania budynku i rzuciła je na sąsiednie zabudowania, demolując je w całości albo częściowo. Pęd gazu wyrzucił przejeżdżający obok zakładu wóz tramwajowy na kilka stóp w górę. Padając, przygniótł wóz sobą przejeżdżający obok samochód, a sam uległ zniszczeniu. Z jadących wewnątrz dwie osoby znalazły śmierć na miejscu, a reszta odniosła ciężkie rany. Siłę wstrząśnienia odczuto w całej okolicy. W pierwszej chwili przypuszczano, że to trzęsienie ziemi. Tysiące osób, ogarnięte paniką, zaczęły uciekać na ulice i place, gdzie rozgrywały się rozpaczliwe sceny. Wreszcie uspokojono się, a przybyła straż pożarna i oddziały ratunkowe zabrały się do ratowania tego, co się uratować dało.

W chwili wybuchu w zakładach elektrycznych znajdowało się 30 osób. Budynek runął, przysypując je w gruzach, mimo to część znalazła ocalenie dzięki wytrzymałości żelaznych części budynku. Tych udało się uratować. Ogółem w dniu wybuchu znaleziono 21 osób zabitych i około 200 rannych. Wśród ostatnich, a byli to przeważnie przechodnie, którzy w fatalnej chwili znajdowali się w pobliżu budynku zakładu kolei i zostali ugodzeni ułamkami żelaza, gruzu itd., bardzo wielu było śmiertelnie rannych. Ci z pewnością powiększyli znacznie pierwotnie podawaną liczbę zabitych.

Szkodę materyalną obliczono na pół miliona dolarów, co nie przedstawia znów tak wielkiego nieszczęścia dla olbrzymie dochody przynoszącego tramwaju nowojorskiego.



Krwawy napad bandytów na proboszcza: Plebania z mieszkaniem ks. Macoszka w Dziedzicach.

Przy budowie drapacza nieba.

Wielkie i gwałtownie rozwijające się amerykańskie centra handlu i przemysłu, wobec coraz bardziej mnożącej się w nich ludności, nie mają miejsca na budowę domów w stylu europejskim. Praktyczni Amerykanie wpadli więc na bardzo dobry pomysł i budują domy o wysokości, o jakiej Europejczyk niema ani pojęcia. W r. 1883 postawiono pierwszy dom o dziesięciu piętrach. Wnet utworzył się syndykat, złożony z bogatych przedsiębiorców, liczący dziś około trzech tysięcy członków, którzy zajmują się budową tak zwanych drapaczy nieba.

Wobec szalonych postępów techniki, wysokość dziesięciu pięter wydała się znikomo małą, gdyż w roku ubiegłym zbudowano dom fabryki maszyn do szycia firmy Singer et Comp. o dwudziestu siedmiu piętrach, a towarzystwo wyżej wspomniane ma nadzieję, iż uda mu się skonstruować budynek mieszkalny, przynajmniej o stu pięćdziesięciu piętrach.

O niebezpieczeństwach, na jakie narażeni są robotnicy przy budowie tych prawdziwych kolosów, daje słabe wyobrażenie przysłowie, krążące między nimi, iż każde piętro kosztuje jedno życie ludzkie.

W ostatniem czteroleciu przy tych napowietrznych robotach zginęło stu pięćdziesięciu robotników, a czterystu sześćdziesięciu trzech odniosło ciężkie obrażenia. Rzecz dziwna i nie do pojęcia, wytłómaczyć się dająca chyba stosunkami amerykańskimi, gdzie życie ludzkie nie przedstawia prawie żadnej wartości i płaca za to niebezpieczne zajęcie jest śmiesznie małą. Za dzień jeden ciągłego narażania się, jeśli nie na śmierć, to na prawie pewne kalectwo, otrzymuje robotnik dziennie pięć dolarów, wobec jednak tłumów, szukających zajęcia, przybywających do nowego świata ze wszystkich okolic, przedsiębiorcy nie są nigdy w kłopocie, aby im zabrakło rąk do pracy.

Rycina nasza przedstawia sposób, w jaki robotnik dostaje się w sfery napowietrzne na miejsce swej pracy. Zapomocą żórawi, podobnych zupełnie do używanych przy ładowaniu okrętów, a pędzonych elektrycznością, wyciąga się go w górę, a następnie



Wielka eksplozya w Nowym Jorku: Ruiny sklepu w pobliżu miejsca katastrofy, zniszczonego siłą wybuchu.

zapomocą poprzecznego sznura kieruje się go na miejsce przeznaczenia. Swiadkom tej napowietrznej podróży zastyga krew w żyłach na samą myśl, iż przy najsłabszym podmuchu wiatru lub nieuwadze, zawieszony między niebem a ziemią robotnik może stracić równowagę i stracić życie, on sam jednak jest zupełnie spokojny, jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z grożącego mu każdej chwili niebezpieczeństwa.



Oblężenie anarchistów w Londynie: Rozdzielanie amunicyi między policyantów, idących do ataku.

Oblężenie anarchistów w Londynie.

Jest w Londynie dzielnica, której złe imię do brze znane policyi, cieszy się swego rodzaju smutną sławą daleko poza granicami Anglii. To Whitechapel, schronisko rabusiów, złodziei i opryszków wszelkiego rodzaju, a także i ludzi, których albo los wyrzucił z normalnej kolei życia, albo którzy nie mogą pogodzić się z porządkiem prawnym czy społecznym swojej ojczyzny.

Stąd też ludność dzielnicy tej przedstawia jakby rożnobarwną mozajkę emigrantów świata całego, którzy chronią się tu, korzystając z przytułku, jakiego udzielała im dotychczas Anglia. Tu przybywali pewni swobody rewolucyoniści, anarchiści i inni zwolennicy różnych partyi i frakcyi terrorystycznych, ścigani przez władze policyjne świata całego, nie wyłączając nawet republikańskich: Francyi i Szwajcaryi... Nikt ich nie prześladował, policya dawała im spokój, oni zaś odwdzięczali się za gościnę, zachowując się spokojnie i knując zamachy terrorystyczne przeciw wszystkim i wszystkiemu, tylko nie przeciw Anglii.

Tak było do ostatnich tygodni, aż raptem zmieniło się wszystko, oczywiście na niekorzyść anarchistów.

Ostatnie ich zamachy, a zwłaszcza owa krwawa walka z policyą przy sklepie Harrisa, z której niedawno podaliśmy Czytelnikom ryciny i opis, zaalarmowały przeciw terrorystom całą opinię publiczną w Anglii.

Pod wpływem tego oburzenia władze policyjne postanowiły dotrzeć do jądra sprawy, ujawnić działalność terrorystów rosyjskich nad Tamizą i odkryć ich gniazda.

I to się im wreszcie udało. Idąc za śladem zabitego przy walce koło sklepu Harissa, bandyty Lewiego Muroncewa, odkryto iż wspólnicy zmarłego mieszkają przy ulicy Sidney Street, w domu pod l. 100. Policya przewidziała trafnie, że osaczeni bandyci nie dadzą się ująć bez oporu. Rano 2 stycznia przy pierwszej próbie wtargnięcia do mieszkania anarchistów, jeden z policyantów został strzałem rewolwerowym ciężko zraniony. Wobec tego zmieniono taktykę. Zamknięci złoczyńcy podjęli rozpaczliwą obronę. Siedmiuset policyantów, zbrojnych w rewolwery i karabiny, okazało się niewystarczającą siłą do wzięcia domu. Musiano zawezwać gwardyę szkocką w sile 200 ludzi, która rozpoczęła regularny ogień do oblęganego domu.

Trwała więc ta strzelanina policyi i gwardyi nieprzerwanie, a od czasu do czasu odpowiadały jej brauningi oblężonych, sucho i nieregularnie. Tym czasem wśród tego szczególnego ulicznego pobojowiska chodziły Siostry Miłosierdzia i nakładały rannym bandaże. Był to obraz formalnej bitwy. Karabiny maszynowe trzeszczały bez przerwy, gwizdawki wyły, salwy rozlegały się co chwila... Równocześnie wieść o walce obiegła cały Londyn i zewsząd zaczęły napływać tłumy ciekawe tak niezwykłego widowiska. Zawezwane w większej ilości wojsko, z trudem zdołało powstrzymać je od przerwania kordonu.



Oblężenie anarchistów w Londynie: Kordon uzbrojonej policyi, zamykający ulicę.



Oblężenie anarchistów w Londynie: Gwardya szkocka u wylotu Sidney Street.

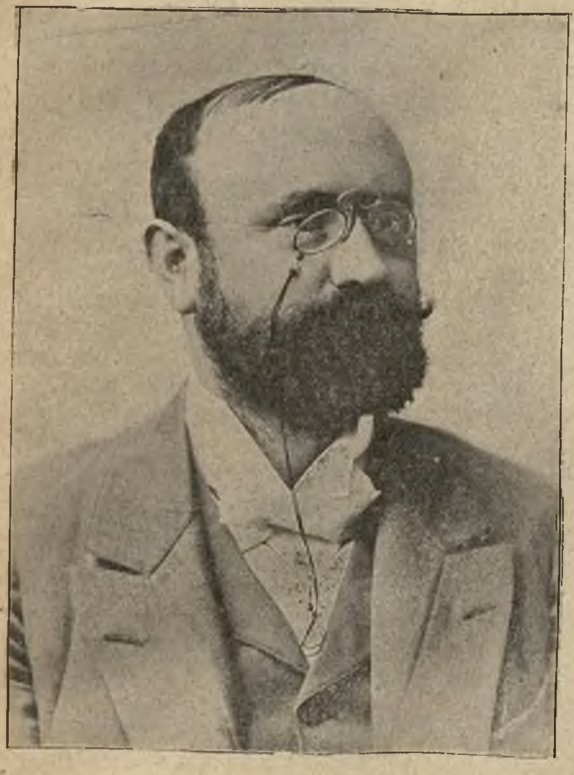
Pół dnia trwało już oblężenie, nie przynosząc widocznego rezultatu. Minister spraw wewnętrznych Churchill, który sam zjawił się na miejscu wypadków, wydał rozkaz ujęcia oblężonych za wszelką cenę, żywych czy umarłych.

Policya i wojsko do nowego gotowały się ataku, gdy wtem rozległa się z wnętrza oblęganego domu głucha detonacya, a po chwili z okien wybuchły płomienie. Zbrodniarze podpalili dom, nie wiadomo, czy przypadkowo czy rozmyślnie. Pomimo pożaru atak i obrona trwały dalej. W miarę przerzucania się pożaru, bandyci przenieśli się, strzelając, na dach domu. Widocznie mieli zamiar ocalić się ucieczką przez dachy kamienic sąsiednich. Plan był jednak beznadziejny. Zewsząd sterczały przeciw nim lufy karabinów policyjnych. Pomimo to jednak kilku umknąć zdołało. Jeszcze kilka, kilkanaście strzałów, a dach runął, na nim rozlało się morze płomieni i po chwili zapanowała cisza. Na strzały policyi i wojska nie było już odpowiedzi; bandyci znaleźli grób swój w ogniu, na który zwróciły się teraz węże sikawek straży ogniowej. Wreszcie ogień ugaszono, a policya weszła do wnętrza, gdzie wśród zgliszczów znaleziono dwoje zwłok, które jednakże były tak zniekształcone, że trudno stwierdzić ich identyczność. Policya jest zdania, że są to zwłoki „Fryca“ i „Piotra“, przywódców spisku anarchistycznego, obejmującego około 50 osób, a zamierzającego w najbliższym czasie dokonać licznych zamachów.

Wieść o tem wyjątkowem oblężeniu obiegła szybko Londyn cały, budząc wszędzie grozę i oburzenie. Opinia publiczna wciąż jeszcze zajmuje się temi zajściami, a prasa zastanawia się nad środkami, jakieby trzeba zarządzić, aby na przyszłość uniknąć scen takich. Zwłaszcza silnie podkreśla tę okoliczność, że

Londyn stał się niebezpiecznem gniazdem terrorystów rosyjskich — bo o tych wyłącznie idzie w tym wypadku — którzy za gościnę, grabieżą się odwdzięczają i mordem.

Sądzić zatem należy, iż na przyszłość zmieni się stanowisko rządu angielskiego wobec szukających



Nowy gabinet: Dr. Weisskirchner, powołany ponownie na ministra handlu.

w Anglii schronienia i wolności rewolucyonistów rosyjskich, a raczej wobec szumowin rewolucyi: bandytów i terrorystów.

Że stracą to ostatnie w Europie asylum, sami panowie terroryści sobie przypisać winę będą musieli.



Oblężenie anarchistów w Londynie: Płonący dom przy Sidney Street, z którego bronili się oblężeni anarchiści.

Odznaczenie dzielnego strażaka.

Mieszkańcy Podgórza i Krakowa pamiętają do dzisiejszego dnia straszny wybuch prochowni wojskowej w Woli Duchackiej za Podgórzem, wybuch, który naraził skarb wojskowy na ogromne straty materyalne, a sporo szkód wyrządził także ludności okolicznej i to nietylko mieszkańcom zagród, leżących tuż w pobliżu, ale i w dalszych stronach, bo w Podgórzu i Krakowie.

Jak wiadomo, odłamki bomb i granatów poraniły wówczas wielu mieszkańców, bliżej położonych domów, a akcya ratunkowa była z powodu nieustannych wybuchów nabojów prawie uniemożliwiona. Na miejsce wypadku ruszyły wprawdzie oddziały straży pożarnej z Podgórza i Krakowa oraz pogotowie ratunkowe, jednak wobec niebezpieczeństwa poranienia przez latające kule, nie wiele one mogły wskórać. Znalazł się przecież między strażakami podgórskimi dzielny człowiek, Jakób Wilczek, który mimo grożącego niebezpieczeństwa, z narażeniem własnego zdrowia i życia, nie zawahał się zbliżyć do najbardziej zagrożonych domów i wraz z fizykiem podgórskim, dr. Smorągiewiczem, wynosił rannych z domów oraz pomagał ich opatrywać.

Dzielny ten czyn dra Smorągiewicza, oraz strażaka Wilczka spotkał się też z ogólnem uznaniem, a wyrazem tego było odznaczenie ich przez cesarza.

W ubiegłą niedzielę właśnie odbyło się na strażnicy miejskiej w Podgórzu uroczyste przypięcie strażakowi Wilczkowi srebrnego krzyża zasługi. Na obszernym dziedzińcu strażnicy, zebrały się oddziały straży pożarnej i policyi miejskiej, przybył dalej burmistrz Podgórza poseł Maryewski z gronem radnych i assesorów, starosta Bodnar oraz grono urzędników magistratu. Po przemówieniach burmistrza Maryewskiego i starosty Bodnara, nastąpiło przypięcie krzyża dzielnemu strażakowi, zasłużonem odznaczeniem widocznie szczerze wzruszonemu.

Zdjęcie nasze przedstawia grono członków straży wraz z naczelnikiem Illgiem i odznaczonym strażakiem Wilczkiem.



Przy budowie drapacza nieba: Robotnik udający się przy pomocy windy elektrycznej na miejsce pracy.

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

11

— Na łotrów!! — zawyła ponuro izba.

— O cześć wam panowie, magnaci!... — zaintonował piskliwy głos w ciżbie.

Mówcy oczy się zaiskrzyły.

— Słyszycie, obywatele! Oto zero narodu! Rewolucya ginie, upada, jęczy pod ciężarem zmagającej ją kontrrewolucyi! Ocalić rewolucyę może tylko gmina, komuna, lud, gilotyna a po naszemu szubienica! Ona naszem ocaleniem, ona ratunkiem przed zgrają Skrzyneckich, Czartoryskich, Chłopickich, Lubeckich. Nasi generałowie już otwarcie układy prowadzą! Tak, obywatele! Prowadzą układy!... Tak-tak! Są dowody, są dokumenty! A wiecież, jaki przedmiot jest układów — żeby oni wrócili na senatorskie krzesła, a nas by zapędzono w dyby!

— Ooo! — mruknęła ponuro kawiarnia.

— Chwili niema do stracenia! Godzina sprawiedliwości wybiła! Na powrozy szpiegów — sprzedawczyków!

— Na powrozy! — zahuczała kawiarnia.

— Cześć wam hrabiowie, książęta, prałaci...

— Niech sąd ludu wyrokuje!

— Wiwat naród!

— Wiwat!

— Za pozwoleniem, obywatele! — wrzeszczał młody dyszkant. — Imieniem akademików proszę o głos!

— Niema głosu! — Niech żyje szubienica! — Precz z wodzem, precz z Czartoryskim!

Ale dyszkant, pomimo tak niechętnego przyjęcia, dźwignął ponad pogłowie pyzatą, rozczerwienioną twarz, wystającą butnie z zachodzącego jej na uszy kołnierza gwardyjskiego, i łypnąwszy oczyma, zaczął z impetem:

— Nie dość, obywatele, złe wyplenić, trzeba uczynić jeszcze, by się nie powtórzyło!... Trzeba ustanowić dozór akademicki! Tak, jak to było przedstawionem sejmowi! A co sejm zbrodniczy targowicki odrzucił! — Gwardya akademicka powinna być rozesłana po województwach, przy każdym urzędniku, przy każdym oddziale, szwadronie, batalionie, pułku, brygadzie, dywizyi, korpusie, władcy, zarządzie powinien być jeden akademik z prawem *veto*...

— Chu-chu! Niema *veta*, precz ze szlachtą! Wszyscy równi!...

— Obywatele, tylko dozór akademicki...

— Młodzież mościpanowie!...

— Niema mościów! Niema panów!

— Przy każdym oddziale jeden akademik! — wołał zapamiętale dyszkant.

— A przy każdym akademiku jedna niańka!

— My, obywatele, jesteśmy kwiatem narodu.

— Jeden Krukowiecki może nas ocalić! — beknął bas.

— Wiwat Krukowiecki! — zagrzmiała kawiarnia. — On jeden! Krukowiecki!

— Tak-tak! — zawtórował dźwięczny głosik z pod niewieściego kapelusza, przybranego biało-amarantowemi wstążkami. — Generał Krukowiecki z ludem idzie! On, w imię ludu, z całą kliką się wodzi! On jeden, nieustraszony!

— A Chłędowska druga! — bełknął bas.

— Kto śmie uchybiać niewiastom! Wszyscy równi!

— Niech żyje równość!

— Niema zgody! — upierał się bas.

— Bez akademików... — dowodził precz dyszkant.

— Klub rewolucyjny, nieustający... obywatele!— perorował pierwszy mówca.

— Wszak waszym był synem ów niecny kunktator! — intonował piskliwy głos.

— Jedynowładztwo żołnierskie już w czasach rzymskich!... — rozpoczął wysoki, chudy jegomość w niebieskich okularach.

Wszczął się tumult piekielny. Dwudziestu naraz mówców wdarło się na stoły, dwadzieścia zbitych uformowało się gromad. Lecz że i dwadzieścia mównic nie mogło wystarczyć dla racyi, rozpierających piersi obywatelskie gości pani Honoraty, więc w jednej chwili wszystkie stoły zamieniły się w mównice ludowych trybunów.

Bem tymczasem, uwięziony przez ciżbę, zalegającą wyjście z kawiarni, przechodził męki istne. Gniew, oburzenie, smutek, zniechęcenie, politowanie, ból, żałość miotały nim naprzemian. Ledwie sobą władał, ledwie wstać mógł, ledwie powstrzymać, drżącą do głowni pałasza rękę... Boć ta szalejąca hałastra plwała na wszystko i na wszystkich, w błędach widziała rozmyślną zdradę, pozór brała za prawdę, bluzgała kalumniami, bezcześciła już nie tylko tych, przed którymi korzyła się wczoraj, których miała za bożyszcza, za zbawców, za odkupicielów, lecz i tych, którzy legli i tych, którzy pod gradem kul sprawiedliwości swej dowodzili!

I Bem parł do drzwi, do wyjścia, byle wydostać się, byle niesłyszeć, byle dobyć się z tego odmętu.

Lecz, krom pułkownika, był jeszcze inny człek, który również zdawał się po swojemu rozumieć przemówienia trybunów i okrzyki tłumu. Człekiem tym był wuj Olechowski. On to właśnie piskliwym głosem intonował coraz to inną zwrotkę i z coraz to innego kąta kawiarni. A choć go ofuknięto tu i owdzie, wyśpiewywał swoje i krążył od stołu do stołu, od gromady do gromady i w kunsztownie zachowywanych przestankach, sięgał po niedopite lampki, kubki, szklanice i wysączał jednym haustem, co było do wysączenia. Czynił zaś to tak sprawnie, że zanim właściciel reszty piwa, miodu, ponczu lub wina, spostrzegł się, już wuj Olechowski piszczał zapamiętale: „Nasz Chłopicki wojak, dzielny, śmiały! Wykonywać rozkazy i szturmem brać wały!"

Krążąc tak po kawiarnianych izbach, wuj Olechowski dosięgnął miejsca, kędy Bem przesuwał się z trudem ku wyjściu.

Pułkownik dostrzegłszy obrzękłą, fioletową twarz Olechowskiego, cofnął się, aby ujść mu z drogi, lecz Olechowski już go dostrzegł i już doń przypadł.

— Pułkowniku-obywatelu! Co to? Dokąd? Jakże to?... Opuszczasz, odchodzisz w takim dniu, w takiej godzinie...

— Pozwól waćpan...

— Obywatel, pułkowniku-generale serdeczny! W takim dniu wszyscy ob... obywatele! Daj, niech cię uściskam! Niechaj pozna, że nie żarty, a Chłopicki niech gra w karty!...

— Zalałeś waćpan pałeczkę.

— Bohatyra muszę uściskać! — piszczał wuj Olechowski, cisnąc się z rozrzewnieniem w objęcia pułkownika. — Wszak wuj z Bemem, w imię Boga!...

Bem odtrącił ramiona Olechowskiego.

— Co wujo, co tu wujo! — rozległ się tuż zaniepokojony głosik pani Honoraty.

Bem odwrócił się ku drzwiom, lecz w tejże chwili pulchne rączki właścicielki kawiarni dotknęły jego ramienia.

— Pan pułkownik odchodzi?

— Odchodzę!

— A ja od godziny szukam pana pułkownika.

— Bardzo żałuję, mam honor...

— Panie pułkowniku — szeptał z wymówką głosik — przecież, przecież miał pan pułkownik coś do powiedzenia.

— Miałem, lecz nie mam — odparł Bem, nie podnosząc oczu.

— Boże Boże i cóż się stało? Może pana pułkownika czem uraziłam! A tu właśnie jeden młody oficer z klubu patryotycznego, u Lelewela podobno najpierwszy, do mnie w jakieś konkury i o co, o to, żebym go panu pułkownikowi sprezentowała.

— Więc chyba innym razem...

— Niech-że tak — lecz niech pan pułkownik nie odchodzi! — błagała pani Honorata tak smętnie, że Bemowi serce tajało. Lecz się zawziął wytrwać.

— Muszę, nie mogę słuchać...

— I cóżem ja winna, panie pułkowniku! A tak się cieszyłam, tak radowałam! Niech pan pułkownik dla mnie to uczyni — niech uczyni.

Bem bronił się, upierał, sumittował, aż gdy wreszcie spostrzegł się, że siedzi, pomimo zarzekania się, za stołem w alkierzyku i nie tylko w towarzystwie pani Honoraty, ale i Gurowskiego i Filialskiego i Małachowskiego i Krępowickiego i czeredy rozmaitych młokosów, klubistów i kawiarnianych wycirusów — złość nim targnęła. Przerwał komplementy i pochwały, któremi Filialski na jego cześć sypał i ozwał się bez ogródki.

— Piękne tu odbywa się dziś zgromadzenie! Zaiste warcholstwo polityczne przebrało miarę! Mało mu jeszcze niedoli, mało ofiar!

— Lud musi się bronić! — mruknął ponuro Krępowicki.

— Bronić! Więc niech staje w szeregu, niech gębą nie udaje zucha.

— I stanie, gdy wybije godzina — dorzucił ktoś z boku.

— Ale przedewszystkiem szanować musi władzę, mores znać dla dowódzców...

— Ale chyba nie dla tych, którzy go chcą zaprzedać! — odparł hardo Gurowski.

— Mości poruczniku — uniósł się Bem — gdybyś na polu bitwy zdobył szlufy, może byś inne miał zachowanie dla tych, których powinnością twoją jest poważać! Twym ośmnastu latom przypisuję lekkomyślne słowo!... Zresztą, w mojej przytomności, racz o zaprzedaniu dwa razy nie mówić!

Gurowski zaperzył się. Pani Honorata zaniepokoiła. Zebrani przycichli. Krępowicki uśmiechnął się łagodnie i wycedził:

— Zdumiałbym się, żeby pan pułkownik inaczej sądził! Jednakże obywatel Gurowski nie bez kozery, bo są racye do użycia nawet bardzo silnych wyrażeń...

— Ale nie takie, któreby upoważniały lada kogo do stawiania wodzów, naczelników rządu pod pręgierzem hańby! Błędy! Mogą być, są nawet błędy! Lecz daleko od błędów do podłości! Odkąd-że to na wojskowej sztuce znać się ma byle kancelista, byle kauzyperda, byle akademik! Błędy! A ten z nich największy, że niema ręki silnej, że niema pięści, że niema woli, któraby na cztery wiatry warchołów rozpędziła!

— Jakto?! A wolność?! Każdy ma prawo! — odezwały się niechętne głosy.

Krępowicki zerknął z podełba na pułkownika i skinął na Gurowskiego. Ten wyciągnął zadrukowany papier z zanadrza i podsunął Bemowi.

— Proszę, niech pan pułkownik czyta.

Bem rzucił okiem na druk i odsunął go ze złością.

— Kalumnie!

— Odpis z protokółu posiedzenia rządu narodowego... Ze Lwowa już mi sygnalizują o spisku generałów!

— Oszczerstwo! — Skąd je masz waćpan?

Gurowski musnął dumnie wąsika.

— Od rządu narodowego!

— Panowie, ach dosyć, doprawdy — utyskiwała pani Honorata. — Róziu, każ ponczu.

Pułkownik zabębnił gniewnie palcami.

— To nie może być, nie może być! Truciznę siejecie, truciznę będziecie zbierali.

— Jako magister prawa i administracyi muszę stwierdzić, że strona winna zbrodni musi być ten...— zawyrokował Filialski, tasując od niechcenia talię kart.

— I my też niczego innego nie pragniemy! — przyznał słodko Krępowicki. — Sądu się domagamy — niczego więcej, tylko sądu!

— Więc nie ferujcież przed czasem wyroków!

— Panowie, jest świeży ponczyk, prosto z lodu!

— Słusznie powiada pan pułkownik, lecz, aby na piec wskoczyć, lepiej na pułap mierzyć. Musimy zbroić społeczność, musimy...

— Judzić, burzyć, do krnąbrności nakłaniać!— uniósł się Bem.

— Bronić ojczyzny, bronić jej przed zdrajcami!— odparł zimno Krępowicki.

— Patrzcie, aby was samych o zdradę nie pomówiono!

Krępowicki pobladł. Gurowskiemu oczy się zalśniły, lecz pod śmiałem, otwartem spojrzeniem Bema, skryły wnet owe błyski pod powiekami.

Nastała chwila ciszy. Krępowickiemu zawisła już na ustach odpowiedź, gdy uprzedzając burzę, pani Honorata wionęła spódniczkami między Gurowskim i Bemem i ozwała się rezolutnie.

— Magister Filialski trzyma faraona!

Filialski trzasnął kartami.

— Wola wasza! Proszę, kto łaskaw! As żołędny z niżnikiem!

Dokoła magistra zadzwoniły miedziaki.

Gra zaczęła się wlec ospale. Gurowski cmoktał flegmatycznie poncz. Krępowicki uśmiechał się drwiąco, pykając z fajki. Bem upatrywał jeno sposobności, aby się wydostać z kompanii, która mu coraz nieznośniejszą się wydawała.

Ale zabiegliwa pani Honorata umiała kres położyć nudzie i przymusowi, zakradającemu się do alkierza.

— Odbieram bank — pan magister pozwoli! Cztery karty ciągnę na szampana! Róziu, każ dawać!

— Doskonale!

— Ale wszyscy, wszyscy!!

— Pan pułkownik?

Bem rzucił niedbale dwuzłotówkę. Gurowski poszedł za jego przykładem.

Wniesiono butelki i szklanice.

Gra żwawiej się potoczyła. Miedziaki zastąpiło srebro. Gurowski, po kilku stawkach, przestał grać. Bem dostawiał złotówki, nie troszcząc się wcale, iż zaczęło mu ich przybywać, a natomiast szukając

daremnie przyczyny, dla której twarz pani Honoraty wydłużyła się melancholijnie.

Po czwartej karcie główka pani Honoraty pochyliła się ku Gurowskiemu, a głosik jej zabrzmiał nieśmiałą wymówką:

— A pan, panie poruczniku?

Bema tknęło.

Gurowski roześmiał się pobłażliwie.

— Nie gram w pliszki!

— Nawet ze mną... — szepnęły sentymentalnie wydatne, czerwone usta właścicielki kawiarni.

— Z tobą pani nadewszystko. Po dukacie najmniej, służę...

Filialski zarechotał z ukontentowaniem.

— Che che, a cóż radbym się akkomodować!

— Ano, ano, kusz to kusz! — wtrącił się Boski.

— Niech po dukacie! — Albo, albo! — Krótszy rachunek! — Dosyć złotówek! — ozwały się różne głosy.

— A jak przegram? — zagadnęła wdzięcznie pani Honorata, tonąc w spojrzeniu pięknego porucznika.

— Więc tylko do mnie! — odrzekł Gurowski, biorąc z jej rączek karty.

— A jeżeli wygram!

— Tembardziej przegranym nie będę...

Pani Honorata pokraśniała.

Bem zgarnął porywczo swe złotówki i podniósł się.

— Co to? — Jakto? — Pan pułkownik odchodzi?!

— Muszę.

— Obywatelu-pułkowniku, toć najciekawsza właśnie! — A nie, nie uchodzi, nie uchodzi! — zaprotestował Filialski.

Pani Honorata milczała.

— Pułkownik po dukacie nie lubi! — przyświadczył Boski.

— Słusznie — mruknął Krępowicki, bo jeden dukat gotów zgarnąć wygrane złotówki!...

Bem rzucił dukata na kartę.

— Zwracam je waćpanom.

Gurowski pociągnął i wygrawszy, odłożył na bok dukat pułkownika.

— Tego unikata biorę sobie na inkluza!

— Pewnie, Adasiu — zarechotał Krępowicki — bo takiego drugiego się nie doczekasz!

— Owszem, jest drugi! — przerwał ostro Bem.

Gurowski znów wygrał.

Krępowicki parsknął śmiechem.

— Adasiu, nie zapominaj, że sam w artyleryi sługujesz!

W pułkowniku krew zakipiała. Stawiał dalej, stawiał na oślep, pragnąc za wszelką cenę zgasić tryumfującą minę porucznika. Szczęście atoli trwało przy Gurowskim.

Za siódmym razem, Bem znalazł już jednego tylko i okrutnego kulfona w sakiewce.

Gurowski dostrzegł pomieszanie swego przeciwnika.

— Pan pułkownik ma zadość!

— Nie — jeno nie spodziałem się takiej gry. Trzymam na słowo do jutra pięć dukatów.

Gurowski potrząsnął obojętnie głową.

— Wybaczy pan pułkownik, gram ja na to, co leży na stole!

— Smiesz mniemać...

— Broń Boże! Taką mam zasadę... Proszę! Dama czerwienna wygrywa!

Bem spojrzał dokoła, jakby sukursu się spodziewał, nikt ku niemu nie odwrócił głowy. Pani Honorata, pochylona ku Gurowskiemu, zabawiała się ustawianiem ruloników złota.

Pułkownik ku niej wzrok wytężył, od niej zdawał się czekać jeszcze słowa, znaku. Naprózno.

Twarz pani Honoraty grała kolorami, oczy jej żarzyły się, pierś falowała, lecz ku junacko podkręconym wąsikom Gurowskiego, ku złotym krążkom, piętrzącym się pod jej pulchnymi paluszkami.

I Bem widział i rozumiał niepokój pani Honoraty, który z partnerów, ratując przegraną, dwo[illegible]wkę, widział, jak brewki właścicielki kawi[illegible] ścigały gniewnie każdego, odebranego porucznikowi dukata, a jak uśmiech witał wracające znów powodzenie.

Przy stole ustały raptem i wykrzykniki i rozmowy. Ten i ów, rzucając pieniądz, stuknął energiczniej ręką, ten i ów odsapnął mocniej, cmoknął z hałasem wina ze szklanicy — lecz nikt ozwać się nie ważył.

Tymczasem gra, która faworyzowała Gurowskiego, jęła się chwiać ku Filialskiemu. Magister prawa i administracyi już po czterykroć zagarnął podwojone stawki. Pani Honorata zmieszała się. Gurowski nachmurzył się.

Bema opanowało uczucie zadowolenia. Filialski nie dał szczęściu zasypiać. Dziesięć dukatów wysunął... i podwoił...

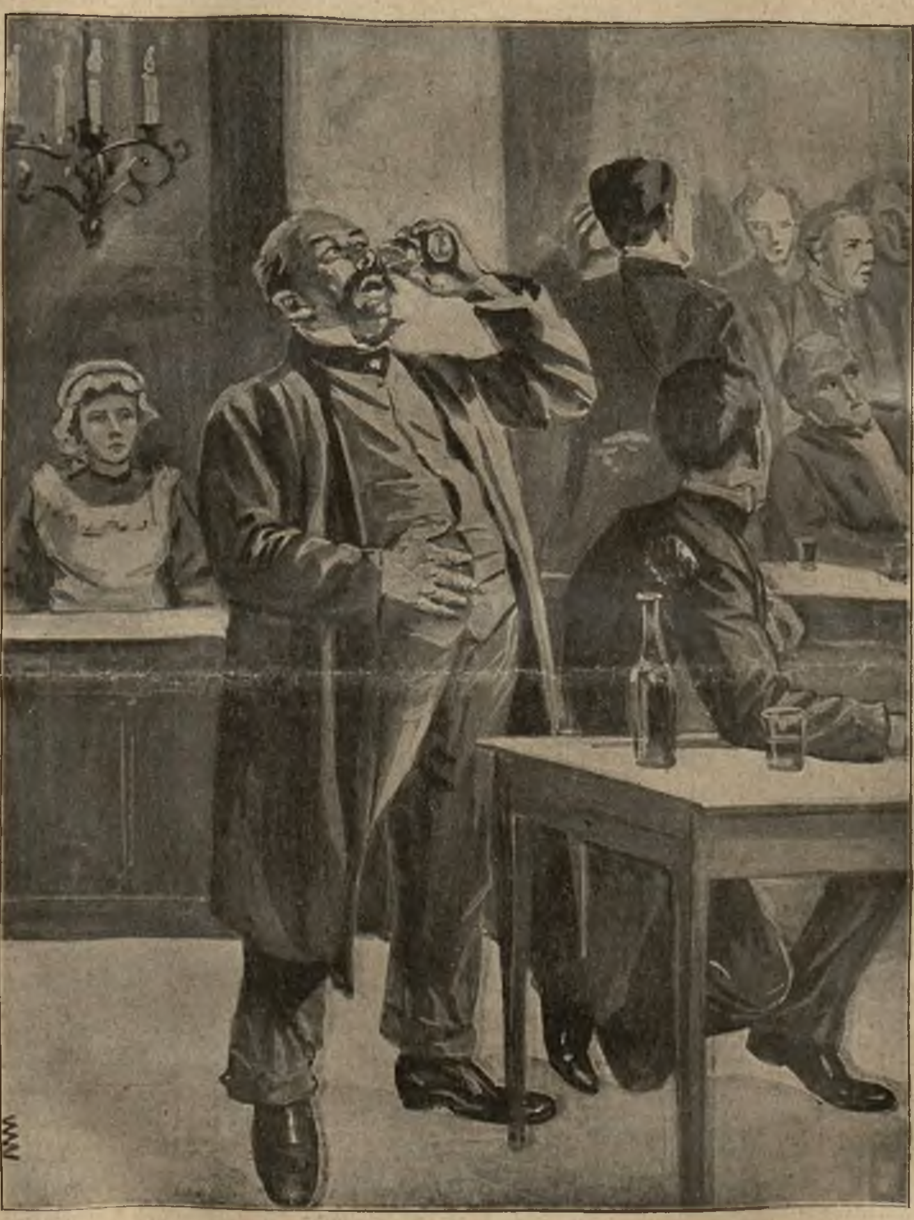
Pułkownik zmrużył oczy. Jeszcze jedna karta, jedna tylko i skończy się... weźmie nauczkę!...

Filialski stęknął.

Bem dźwignął powieki. Promieniejąca twarz pani Honoraty starczyła mu za odpowiedź.

— Zaczyna ciekawiej się układać! — bąknął Krępowicki.

— Od biedy! — rzekł Gurowski, siląc się na obojętność.



Sięgał po niedopite lampki, kubki, szklanice i wysączał jednym haustem, co było do wysączenia.

— Kaduk obywatelowi sekunduje! — sapał Filialski.

Gurowski wzruszył ramionami. Pani Honorata zaparła rękę na oparciu krzesła porucznika, tak że jakby ramieniem go otoczyła.

Gra, po chwili konfuzyi, spowodowanej porażką Filialskiego, żwawiej szła. Tym razem nasadził się na bankiera major Boski z Kraińskim, kapitanem, który był między partnerów niepostrzeżenie się wsunął.

Zapasy były zawzięte. Major lewą stronę obstawiał, Kraiński prawą. Szala więc Gurowskiemu nic nie dawała. Ale, gdy sądzić można było, iż porucznik nie ujdzie cało — naraz dwa, idące po sobie, przyszły mu dublety. Major zaklął...

W tym momencie pułkownik z pasyi raczej, niż kalkulacyi, dobył nieśmiało swego ostatniego kulfona i pod ramieniem pani Honoraty, pchnął ku leżącej ósemce dzwonkowej.

Po chwili, Gurowski rzucił kulfonowi wygranego dukata, nie bacząc nawet do kogo należał. Bem nie sięgnął poń również.

Lecz podwojony kulfon zmógł „gółkę“ „ryndzią, a dalej „mogączkę“ „kinalem“ i w ten sposób, w ośm dukatów się zamienił.

Gurowski poruszył się niepewnie.

— Czyja stawka?

— Niech leży — bąknął pułkownik.

Pani Honorata szarpnęła kątem ust. Gurowski skrzywił się pobłażliwie, pociągnął z talii i przegrał.

— Sługa pułkownika — wycedził przez zęby, odliczając mu szesnaście dukatów.

— Niech leżą!

Porucznik zaperzył się, odkrył pierwszą kartę — miał wyżnika żołędnego — i roześmiał się doń w głos.

— Panfil!

— Proszę o drugą.

Gurowski odsłonił następną i śmiech uwiązł mu w gardle. Bem pobił go tuzem czerwiennym.

Pułkownik sięgnął po wygraną. Pani Hon[illegible] oczy zaiskrzyły się.

— Zabiera pan, lepiej rejterować zawcz[illegible] — rzekła z przekąsem.

— Nie widzę na stole ekwiwalentu!

— Jakto, jakto?! — zachrypiał ze złością głos Gurowskiego, a ręce jego zaczęły przebierać gorączkowo, leżące przed nim, pieniądze. Lecz z wielkiego rozdrażnienia możeby się nie doliczyły trzydziestu dwóch dukatów, gdyby nie zwinność pulchnych paluszków właścicielki kawiarni, które zaszeleściwszy spódniczkami, pośpieszyły na odsiecz rękom porucznika. Smuga w oczach się zaokrągliła.

— Proszę, proszę, jest pełny ekwiwalent! — wykrzyknęła hardo pani Honorata.

Bem zawahał się.

— Żądasz porucznik!

— Przymusu niema! Rozumiem, że dla pana pułkownika...

— Ciągnij kartę! — przerwał ostro Bem.

Przy stole cisza zaległa. Gracze skupili się i zaparli oddechy. Karta pierwsza zaszeleściła niepewnie.

— Dama! — szepnął major.

— Zdradliwe stworzenie! — dodał Filialski.

— Mocne — zaświadczył Krępowicki — trza nań króla albo tuza!

— I jest tuz! — wybuchnął Filialski, który był za każdem drgnieniem ręki Gurowskiego szedł.

Rozruch warczał w alkierzyku.

— Dziw, dziw! — Toć dopiero! Sekwens cały! — Ani się kto spodział! — A świerzbiło mnie, żeby trzymać z pułkownikiem! Trafiłeś poruczniku na adwersarza!!

Gurowski siedział bez ruchu, blady, osłupiały. Bem z zimną krwią zawijał rulon dukatów w skrawek gazety, czem tak był pochłonięty, iż nie widział nawet błyskawic, idących ku niemu z czarnych, podcienionych oczu pani Honoraty.

— Tak nie może być — ozwał się jowialnie magister — abyśmy po tak srogiej batalii mieli się na sucho rozstać! Pułkowniku, na wąpiu mi się zwija z czczości...

— Zarządź proszę!

— To rozumiem! Róziu! Węgrzyna!...

— Za pozwoleniem! — Jeszcze nie koniec gry! — ozwała się niespodziewanie pani Honorata. — Trzymam na kwit!

Bem podniósł głowę. Oczy jego natrafiły na wyzywające spojrzenie.

— Myślisz pani?...

— Na kwit! Pieniądze?! Są!... Tu pięćdziesiąt, tu dwanaście! Magister Filialski niech ciągnie!

— Nie pani kwit się należy.

— Ja trzymam! — warknął Gurowski, przysuwając do się, wysupłane z woreczka przez panią Honoratę, dukaty.

Filialski bęcnął kartami.

— Zbieraj, majoruniu!

Ledwie Boski swą szeroką łapą rozdzielił karty, Filialski już je pochwycił, już odsłonił dwie pierwsze i już zaskrzeczał.

— Złotko idzie sobie do złotka!...

Gurowskiemu muskuły na szczękach zakołatały.

— Trzymam dwieście dukatów na parol do jutra rana!!

— Mówiłeś waćpan przed momentem...

— Tak, ale nie w tem zdarzeniu! Rewanż mi się należy!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

William Miller.

Pośród licznych produkcyi koncertowych lat ostatnich nie było u nas od pięciu sezonów ani jednego popisu wybitnego tenorzysty. Trzeba to za-



William Miller.

pewne przypisać powszechnemu na całym świecie nieurodzajowi na tenorów, wskutek czego ci nieliczni, którym los przyniósł w darze tę drogocenną konstytucyę krtani, cenią się zbyt wysoko, iżby miasta o wielkości i wydatności finansowej Krakowa mogły sobie często pozwolić na zbytek ich słyszenia. To też nadzwyczajne zainteresowanie wywołała zapowiedź występu w Krakowie nowego, a tak już głośnego tenora opery wiedeńskiej, Williama Millera, który od początku b. sezonu zdołał sobie u publiczności naddunajskiej stolicy zaskarbić takie łaski, jakiemi cieszył się tylko jeden Winkelmann. W isto-



Nowy gabinet: Dr. Robert Mayer, nowy minister skarbu.

cie opera wiedeńska dawno już nie miała pierwszego tenora o równie pięknym głosie, a przedewszystkiem o takiej umiejętności śpiewania. Pod tym względem jest Miller wogóle na scenach niemieckich unikatem. Jest to śpiewak t. zw. *mezzo carattere,* śpiewa jednak partye czysto bohaterskie i czysto liryczne z równem powodzeniem. Jego zdumiewająca wszechstronność sięga od Mozarta do Wagnera, od Verdiego do Ryszarda Straussa, a krtań posiada tak wygimnastykowaną, że do wszystkich wymagań stylowych równie swobodnie zastosować się może.

Karyerę Millera można opowiedzieć w krótkich słowach. Pochodzi z Ameryki. Odkrył go jako tenora pewien lekarz, który sam nie mogąc zostać śpiewakiem, cały swój kunszt przelał na ucznia. Studya w konserwatoryum wiedeńskiem dopełniły świetnych początków, poczem Miller zaangażowany został na sześć lat do Düsseldorfu. Tam go usłyszał śp. Demuth, będąc na gościnnych występach i zachwycony mało jeszcze znanym tenorem, zatelegrafował o tem do dyrektora Weingartnera. Nastąpiła zaraz potem gościna w operze nadwornej i długoletni kontrakt ze wspaniałą gażą (70.000 koron za 8 miesięcy).

Nagły zgon znakomitego artysty.

W chwili, gdyśmy numer niniejszy naszego pisma mieli oddać na prasę, nadeszła ze Lwowa bolesna, smutna wiadomość o nagłej śmierci Gustawa Fiszera, znakomitego artysty dramatycznego lwowskiego teatru miejskiego.

Pod bezpośrednim wrażeniem zgoła nieoczekiwanej a tak przygnębiającej wiadomości trudno zdobyć się na należn wielkiemu jego talentowi i ogromnym zasługom, na scenie polskiej położonym, słowa obszernego nekrol .

Urodzony 184 . w Rzeszowie, uczęszczał tam do gimnazyum, g zaskoczył go wybuch powstania styczniowego. Po upadku powstania ukończył gimnazyum, a następnie wstąpił na scenę w teatrze prowincyonalnym . dy. Przez szereg lat odbywał wśród głodu i chłodu wędrówkę po miastach Galicyi i Królestwa, jakkolwiek znany już był jako aktor wielce utalentowany. W ciągu 40 letniej karyery artystycznej pracował dłuższy czas chlubnie na scenie teatru lwowskiego, gdzie zyskał ogólne uznanie i sympatyę.

Smierć śp. Fiszera wywołała w kołach wielbicieli jego talentu i w gronie licznych przyjaciół szczere, serdeczne współczucie.



Nagły zgon znakomitego artysty: Ś. p. Gustaw Fiszer.



Oblężenie anarchistów w Londynie: Wśród policyi, oblęgającej anarchistów, minister spraw wewnętrznych Churchill (w cylindrze)

Kronika tygodniowa.

Urodził się już Nowy Rok, a ministeryum austryackie jakoś urodzić się nie może. Akuszer Bienerth największe przeszkody spotyka ze strony Koła polskiego. Nie dlatego, aby to Koło nie miało swoich kandydatów, ale dlatego, że ma ich za wielu. Trudno zaiste o większą solidarność: Każda frakcya chce wziąć udział osobisty w rządzie. A nikt nie czuje do tego tak wielkiego powołania, jak poseł Stapiński. Genialny ten mistrz łamańców politycznych z każdego położenia umie wyciągnąć korzyść dla siebie. Zarobił na demagogii, zarobił na spółce z konserwatystami, zarobił na opozycyi przeciw Bilińskiemu, zarobił na przyjaźni z Bilińskim, zarobił walcząc przeciw narodowym demokratom, a teraz chce zarobić na spółce z narodową demokracyą. A nie ulega wątpliwości, że jest mądrzejszy od wszystkich swoich czasowych przyjaciół — za każdym razem wywodzi ich w pole i śmieje się w kułak z ich naiwności. Przysłowie „do razu sztuka“ wcale się do niego nie odnosi. Choć sparzyli się na nim ci i owi, zawsze znajdzie się takie stronnictwo, co uściśnie wyciągniętą przez niego rękę. Nie było zbrodni i przestępstwa, jakiegoby jeszcze wczoraj nie zarzucała Stapińskiemu rzucająca mu się dziś w objęcia narodowa demokracya. Wprawdzie jeden więcej brudny sojusz nie zmieni reputacyi, jaką się cieszy polityka naszych stronnictw, ale może będzie tą kroplą, co przepełni naczynie naiwności wyborców galicyjskich. Boć chyba, oprócz matołków, nie znajdzie się już nikogo między ludźmi obdarzonymi zwykłym, choćby rozcieńczonym rozsądkiem, ktoby wierzył, że jakiekolwiek stronnictwo ma na celu dobro kraju, a nie dobro jednostek.

Z Rydzyną rzecz już, chwała Bogu, załatwiona. Mówię: chwała Bogu, bo czas zaiste, aby przestano się mieszać do prywatnych interesów JE. hrabiego Antoniego Wodzickiego z Poręby w Galicyi i hr. Henryka Potockiego z Chrząstowa w Królestwie Polskiem. Czcigodni ci obywatele dbali o pomnożenie brzęczącej monety w dwu naszych dzielnicach, wspierani radą adwokata Dziembowskiego z trzeciej dzielnicy (co dowodzi, że serca biją jednakowo we wszystkich trzech odłamach b. Rzeczypospolitej), zagarnęli, czy też dopiero zagarniają 4 miliony marek, a pruskie ministeryum oświaty zabiera Rydzynę, oddając jej ziemię rolną na kolonizacyę, a lasy powierzając w opiekę państwowemu zarządowi leśnemu. Wprawdzie ojczyzna skurczy się o całą milę kwadratową (same lasy rydzyńskie 8000 morgów obejmują), ale za to rozszerzy się wartość finansowa dwu polskich margrabiów. Ponieważ zaś u nas wartość finansowa ludzi zwiększa ich wartość moralną (im kto więcej ma pieniędzy, tem więcej mu się ogół kłania) przeto cieszyć nam się jedynie wypada, że dwu magnatów polskich wzrosło materyalnie i moralnie. Niechże więc raz już zamilkną niesforne wrzaski wiecznych opozycyonistów, niech raz prawdziwa zasługa odbierze nagrodę. Mało zasługa, bo obaj ci magnaci są ludźmi wysokiego poświęcenia, rzadko bowiem kto poświęciłby, tak jak oni, swój skarb największy, to jest dobre imię aby „dla kraju“ wyciągnąć cztery miliony marek. To też, jeżeli nie mamy prawa ofiarować obu sprzedawczykom medalu *bene merentibus*, to przynajmniej godziłoby się wydać na ich cześć bankiet lub urządzić „akademię“. W tej ostatniej kronikarz „Nowości“ chętnie wziąłby udział, wygłaszając odę, poprzedzoną mottem:

Bierz dyabli honor, sumienie,
Bylem pełne miał kieszenie.

Pełna kieszeń zresztą nie jest żadną zbrodnią. Czasami nawet miewa ona wartość nietylko dla jej posiadacza i dla jego rodziny. Pełną kieszeń mają jacyś państwo Körbelowie, Czesi amerykańscy, skoro złożyli grubą sumę na czeską Macierz szkolną. Nie poprzestali jednak na własnym datku, ale uzbierali drugie tyle wśród Czechów amerykańskich. Panie czeskie złożyły na ten sam cel, jako podarunek noworoczny, 350.000 kor., a inspektor kolejowy Kuchenka zapisał Macierzy 360 000 koron. Przy cyfrach tych dyablo maleje nasz „dar grunwaldzki“, na który w ciągu całego roku zebrano półtora miliona nominalnie, a zaledwie pół miliona gotówką. Co prawda, na dar ten składa się prawie jedynie Galicya, bo zaledwie 1% wpłynęło z poza niej. — Polacy amerykańscy nie poszli za przykładem Czechów amerykańskich. Ofiarność nasza ma jeszcze tę dodatnią, a zarazem ujemną stronę, że na „dar“ złożyły się nader liczne, lecz nie wysokie pozycye. Dodatnio to świadczy o naszych sferach średniozamożnych, ujemnie o właścicielach magnackich fortun. Nasi wielcy panowie są bardzo skromni, nie chcą zawstydzać mniej zamożnych swą ofiarnością. Niejeden z nich zapewne myśli sobie: „dałbym sto tysięcy na jaki cel publiczny, ale by powiedziano, że chcę się pokazać, że się pysznię majątkiem“. I tylko tą „delikatnością“ tłumaczyć można, że w darze grunwaldzkim figurują zaledwie nazwiska kilkunastu jasnych panów i to z kwotami, nie świadczącemi o ich jaśnie pańskiem pochodzeniu.

Nie sumptem też jasnych panów stanęła galerya miejska we Lwowie. Wprawdzie podobno między jej „starymi mistrzami“ Van Dycki przypominają raczej afisze Van Houtenów, wprawdzie są w niej obce arcydzieła, które zagranicą płaci się po 15 koron za metr kwadratowy, ale jest sporo i rzeczy niezłych, a nawet dobrych. Jeżeli jednak na starych mistrzach zawiódł się p. Rutowski, inicyator i twórca galeryi, to szczerze mu powinszować należy, iż w krótkim czasie zdołał zebrać ładną kolekcyę obrazów polskich. Największą wartość galeryi stanowi zbiór płócien malarzy lwowskich, świadczących o kulturze artystycznej, jaką na wschód nieśliśmy. Usiłowania galeryjne p. Rutowskiego spotykały się z dosadną, nieraz bardzo ostrą krytyką, stąd tem więcej uznać należy, że się nie zraził, lecz z podwójną energią wziął się do urzeczywistnienia swej myśli. A myśl to piękna: każda polska instytucya kulturalna we Lwowie, to silna placówka na kresach. Im ich więcej, tem silniejsza nasza pozycya, tem większe prawo do jej obrony.

Szczera też wdzięczność od wielbicieli sztuki naszej należy się adwokatowi warszawskiemu p. Papieskiemu za wyznaczoną przez niego nagrodę 1000 rubli za najlepszy obraz historyczny. Dziwna rzecz zaiste, że nasze malarstwo historyczne, które wydało takiego Matejkę, że śmiercią jego zupełnie prawie upadło. Prawda, że „nowe prądy“ przed laty dwudziestu kilku wszystko burzyły, że Witkiewicz odmawiał prawa istnienia historycznemu malarstwu, że dopiero znacznie później raczył uznać Matejkę. A to „znacznie później“ przypadło na czasy strasznej szarzyzny, upokarzającej jałowości naszego malarstwa. Z powodzi szkiców, obrazków, obrazeczków, plam, nastrojów, rzadko wypływał obraz większej wartości. Już tylko starsi ludzie pamiętają te czasy, kiedy wiadomość o ukazaniu się nowego obrazu nietylko Matejki i cieszących się wówczas wielkim rozgłosem Siemiradzkiego i Brandta, ale Chełmońskiego, Gierymskiego, Pruszkowskiego, Malczewskiego, Wyczółkowskiego, Merwarta, Szyndlera i t. d. budziła zainteresowanie w najszerszych kołach miłośników sztuki. Nie było człowieka zaliczającego się do inteligencyi, któryby nie znał wszystkich świeżo wyszłych z pracowni wybitniejszych obrazów, nie było pisma ilustrowanego, któreby nie podawało ich reprodukcyi. A dziś niech kto wymieni bez zająknięcia choćby dziesięć znanych i uznanych ogólnie obrazów z ostatnich lat piętnastu. Doszło do tego, że na otwartej świeżo w Warszawie jubileuszowej wystawie, na kilka setek płócien, niema nawet kilku, któreby stanowiły *les clous de l'Exposition*. Stwierdza to znany krytyk warszawski H. Piątkowski, ale pociesza się tem, że podniósł się ogólny poziom artystyczny, że są „całe sznury pereł“, które czynią kłopotliwem stanowisko sprawozdawcy, bo nie wie od czego zacząć, kogo wyróżnić. Jest to, krótko mówiąc, wykręcanie się sianem, stwierdzenie, że jest dużo rzeczy dobrych, ale niema wybitnych, znakomitych. A trudno nawet uwierzyć, że one są rzeczywiście dobre, jeżeli pamiętamy, jak niedawno ów krytyk wynosił pod niebiosy tak chybioną nawskroś kompozycyę, jak olbrzymi zarówno rozmiarami, jak banalnością pomysłu i wykonania, „Napad wilków“ Kowalskiego. Zresztą inny krytyk, p. Gawiński, zaznacza, że wystawa warszawska jest skromna, spokojna, mało poważna.

Lwów, oprócz galeryi, chce dojść do innego zbioru, a mianowicie do biblioteki raperswylskiej. Wielka papierowa walka toczy się o to, czy ją przewieźć do Lwowa czy zostawić w Raperswyllu. Nam się zdaje, że pożytek z tego przeniesienia nie byłby wielki, bo lepiej uporządkować to, co się ma, niż sprowadzać nowe zbiory, aby w pakach leżały. A zbiorów nieuporządkowanych, mało dostępnych, mamy sporo. Wiem o pewnej specyalnej bibliotece, ofiarowanej poważnej instytucyi naukowej, która leżała (biblioteka, nie instytucya) w pakach, bo szaf dla niej nie było. Ofiarodawca sprawił zatem szafy swym kosztem i ujrzał w nich inne książki, nie te, które ofiarował. Słusznie powiada prof. Balzer: sprowadzić nie sztuka, ale aby biblioteka raperswylska korzyść przyniosła, należałoby ją dobrze umieścić, dobrze ułożyć i dać jej dobrych opiekunów. Zresztą ze zbiorów raperswylskich tylko literatura emigracyjna miałaby znaczenie dla badaczy, bo inne działy nie zawierają nic takiego, czegoby nasze biblioteki nie posiadały. A szkoda byłoby bez rzeczywistej potrzeby zwijać jedną z dwu jedynych placówek naukowych, jakie mamy zagranicą (drugą jest biblioteka b. Tow. literackiego w Paryżu). — Lepiej, aby Lwów pomyślał o powiększeniu funduszów Ossolineum, które ma tak małą dotacyę na zakupno książek.

A propos Paryża, pięć jego akademii, stanowiących Instytut francuski wydało pytyjskie orzeczenie w sprawie zaliczania kobiet do grona nieśmiertelnych. Wiadomo, że rodaczka nasza p. Curie-Skłodowska jest kandydatką na nieśmiertelną. Stąd wyłoniła się zasadnicza kwestya: czy kobiety mogą być członkami Akademii? Uczeni po długich naradach uznali, że w zasadzie nie można mieć nic przeciw temu, aby spódnica zajęła miejsce między frakami, ale jednocześnie ciż uczeni uchwalili rezolucyę, aby nie odstępowano od zwyczaju nieprzyjmowania kobiet do grona nieśmiertelnych. Kronikarz, jako nieuczony, nie chce rozstrzygać sporu, ale sądzi, że nie zawadziłaby uczonym skromna porcya logiki. Jeżeli się uznaje jakąś zasadę, to nie można przeciw niej głosować. To zgubiło p. Dulębę w sprawie kanałowej, a p. Dulębie więcej ujść może, boć to *simplex servus Dei*, a nie żaden uczony.

Spostrzegam w końcu kroniki, że ani słowa w niej niema o jej miejscu urodzenia, to jest o Krakowie. Cóż jednak kronikarz ma czynić, jeżeli nasz gród drobnerowsko-bisanzowski mało w tej chwili daje znaków życia. Nawet porządnego pogrzebu w ostatnich dniach nie mieliśmy. „Srodowisko“ nasze jest tak nudne, że nawet nie stać nas na awanturkę w rodzaju Heller Bednarzewska-Pawlikowski.

Jedynie mówki przy bufecie demokratycznym budziły nieco wesołości...

O rezultacie spisu ludności w Krak[illegible]e nic jeszcze pewnego nie wiemy. Są tylko g[illegible]e wiadomości o szczegółach z „przedziałki“ [illegible]du. Podobno naliczono ośmiu kandydatów n[illegible]nistrów, 2315 kandydatek do stanu małżeńskieg[illegible]czonych przeszło 2000 (między nimi 42 antig[illegible]waldczyków, tyluż mniej więcej antistykistów, je[illegible]nego weterynarza-estetyka, archeologów dwie i pół kopy), footbalistów 144 (z tego chorych na *dementia footballistica* 63), narciarzy 94, prezesów wszelkiego rodzaju 742, rogaczy małżeńskich 1999, kabarecistów i kabarecistek 448, jednego byłego poetę, brydżystów 612, tarokistów 280, preferansistów 192, ferblistów 1818, kibiców 2224, urzędników bankowych 3333, alkoholików 14 490, eleuterzystów w zasadzie 1116, w praktyce 36, antizimmermannistów 612, aktorów teatralnych 31, aktorów życiowych 3018, kamieniczników uczciwych 7, karambolistów 612, samochodziarzy 192, literatów ostrograficznych 13, fabrykantów tutek do papierosów 1110, pilznerzystów 5118, polityków 8914, radców wszelkiego rodzaju 5012, bigamistów 6112, dyrektorów świeżego powietrza 818, militarystek 2015, sufrażystek 3500, terorystek domowych 7129, tyluż pantoflarzy — i t. d. i t. d.

Nowy gabinet.

Skończyło się kilkunastodniowe prowizoryum gabinetowe. W ciągu tego czasu, od chwili wręczenia i przyjęcia dymisyi gabinetu bar. Bienertha, toczyły się rokowania w sprawie utworzenia nowego gabinetu, na którego czele stanął znowu bar. Bienerth, już po raz trzeci z rzędu na stanowisko to przez cesarza powoływany.

Nowy gabinet ministeryalny ma charakter na wpół urzędniczy, na wpół parlamentarny. W skład jego weszli przedstawiciele trzech najsilniejszych narodowości, a to Niemcy, którzy otrzymali aż 10 portfelów, Polacy, którym oddano dwa portfele i Czesi, których w gabinecie reprezentuje urzędnik Marek, jako minister robót publicznych. Fakt, iż tylko jeden portfel dostał się Czechom, należy wytłómaczyć w ten sposób, iż klub czeski uprawia politykę opozycyjną i z tego powodu żaden z parlamentarzystów czeskich nie chciał wstąpić do gabinetu.

W trzecim gabinecie bar. Bienertha pozostali z dawnego, prócz niego samego, minister sprawiedliwości dr. Hochenburger, oświaty hr. Stürgkh, handlu dr. Weisskirchner i obrony krajowej generał Georgi. Zresztą przybyli ludzie nowi.

Nas zajmują oczywiście przedewszystkiem osoby nowych ministrów polskich. Z tych prof. dr. Głąbiński, dotychczasowy prezes Koła polskiego, objął tekę kolei, ministrem Galicyi zaś został urzędnik, dotychczasowy szef sekcyi w ministeryum rolnictwa, Wacław Zaleski.

Nominacyę obu polskich ministrów powitano w kraju naszym na ogół życzliwie. Prof. dr. Głąbiński należy bowiem do tych polityków polskich, którzy swą energią, zapałem i wielką pracowitością, przedewszystkiem zaś czystym charakterem zjednali sobie nietylko sympatyę ale i szczere uznanie. Nie można też wątpić, że objąwszy jako mąż zaufania Koła polskiego tekę kolei, pracować będzie nadal na wysokiem stanowisku z myślą o kraju.

Minister Galicyi, Wacław Zaleski, jeden z młodszych, ale bardzo zdolnych urzędników, będzie czuwał bacznie nad całością interesów kraju naszego.

Ubolewać jednak należy, że najważniejsza teka resortowa, teka skarbu mianowicie, przeszła z rąk polskich w ręce niemieckie. Ministrem skarbu został dotychczasowy prezydent centralnej komisyi statystycznej, dr. Robert Mayer. Następca dra Bilińskiego jest bardzo wybitnym ekonomistą i finansistą. Po studyach w uniwersytecie wiedeńskim wstąpił 1877 r. do służby skarbowej i aż do dziś dnia w niej pozostał, pracując równocześnie wydatnie na polu naukowem. Na uniwersytecie wykładał ekonomię społeczną i skarbowość, nadto ogłosił szereg poważnych prac naukowych. Od roku 1899 był szefem sekcyi w ministerstwie skarbu, w roku 1909 został tajnym radcą, w roku ubiegłym zaś prezydentem centralnej komisyi statystycznej. Powołanie dra Mayera na ministra skarbu przyjęto w całem państwie zupełnie życzliwie.

Z innych portfeli, obsadzonych „nowymi ludźmi“, portfel ministra spraw wewnętrznych przypadł hr. Wickenburgowi, który już w pierwszym gabinecie bar. Bienertha miał czasowe kierownictwo ministerstwa robót publicznych, do czego doszedł przechodząc z rangi do rangi całą karyerę urzędnika politycznego, najpierw w starostwie, później w namiestnictwie, wreszcie w ministerstwach, zrazu oświaty, później robót publicznych.

Bardzo ważne ministeryum robót publicznych, od niedawna dopiero istniejące, otrzymał jedyny przedstawiciel Czechów w tym gabinecie, Karol Marek, technik z zawodu, dotychczasowy szef sekcyi w ministerstwie kolei.

Wreszcie Wojciech br. Wildmann, agraryusz morawski, został ministrem rolnictwa.



Z życia narciarzy w Zakopanem: Grono uczestników kursu narciarskiego w Zakopanem.



Z życia narciarzy w Zakopanem: Schronisko narciarzy obok hali Pysznej.

„Krowoderskie zuchy“.

Niewielu autorów polskich pochlubić się może tak szczęśliwym debiutem, jak dzielny reżyser i aktor krakowskiego teatru ludowego, Stefan Turski, którego wodewil p. t. „Krowoderskie zuchy“ zyskał odrazu ogromne powodzenie i w ciągu trzech tygodni zapełnił szczelnie salę teatru ludowego dwadzieścia razy.

Ale bo istotnie sztuka Turskiego ma wszelkie warunki, by się podobać i ściągać tłumy widzów. Jest w niej treść bogata, akcya bardzo żywa, jest humor szczery, naturalny, swojski. Dawno nie rozbrzmiewała widownia „pod końskim łbem“ tak głośnemi salwami śmiechu, jak na przedstawieniach „Zuchów“. Śmieją się aktorzy, którzy w sztuce wspomnianej występują, śmieje się orkiestra z swym



Jubileusz „Gwiazdy“ w Przemyślu: Członkowie „Gwiazdy“ i uczestnicy jubileuszu: 1. ks. biskup Pelczar; 2. burmistrz dr. Doliński; 3. prezes „Gwiazdy“ Józef Jarolim; 4. prezes „Sokoła“ dr. Tarnawski; 5. ks. infułat Federkiewicz. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

kapelmistrzem Tesażykiem, śmieje się publiczność, fotele, krzesła, ławki, policyanci, straż ogniowa, nawet Wierciaka obraz bitwy grunwaldzkiej, zawieszony na ścianie, weselszą ma minę, a chorągwie i sztandary na nim jeszcze bardziej się powykrzywiały.

Treść sztuki Turskiego, doskonale i z wielką znajomością warunków sceny zbudowanej, jest istotnie zajmująca. Bohaterami jej są członkowie sławetnego rodu Gzymsików z Krowodrzy, rodu — jak nazwisko wskazuje — murarskiego. Więc Floryan Gzymsik, podmajstrzy murarski, jego żona Katarzyna, handlarka jaj, dalej dziarscy synowie Felek. Staszek, Franek i Walek, również murarze, nadto syn Kazimierz, student filozofii i córka Zosia, nauczycielka. Rodzina to dość zamożna, ma kawał gruntu na Krowodrzy i murowany dom. Z wielką starannością przechowują prawie wszyscy jej członkowie dwie tradycye rodzinne: zamiłowanie do kieliszka i wędrówki z szopką w okresie świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Dwoje tylko Gzymsików odrodziło się od reszty: student Kazimierz i Zosia. Otrzymali wyższe wykształcenie, razi ich więc rubaszność rodzeństwa, razi zwłaszcza ich nadużywanie alkoholu; opuszczają więc dom rodzicielski, aby własną pracą zdobyć sobie stanowisko w świecie.

Jako słuchacz filozofii, mający wnet zostać profesorem, zapoznał się Kazimierz Gzymsik z panną Wandą Kłaczkówną, córką zamożnego majstra tapicerskiego, tytułowanego radcą od czasu, kiedy kandydował do rady miejskiej. Zapoznał się i zakochał z wzajemnością. Państwo Kłaczkowie akceptują życzliwie konkury przystojnego filozofa, pech jednak chce, że w dzień świąt Bożego Narodzenia sprowadza konkurent o rękę drugiej córki pp. Kłaczków kolędników z szopką, w których Kazimierz poznaje swych rodzonych braci. Pęka bomba, gdyż pani Kłaczkowa ani słyszeć nie chce, by jej córka wyszła za brata kolędników z Krowodrzy, wypędza więc śpiewających zuchów a Kazimierzowi wypowiada dom. Robi się mała tragedya. Nie na długo jednak. Bracia Gzymsikowie przybywają w parę dni potem



„Krowoderskie zuchy“: Stefan Turski, reżyser teatru ludowego i autor „Krowoderskich zuchów“.

do domu pp. Kłaczków pod nieobecność „dobrodziki“ i tak wymownie przekonywują dobrotliwego „radcę“ o zaletach swego brata i całej swej rodziny, że pan „radca“ decyduje się wreszcie stoczyć walkę ze smokiem-żoną i postawić na swojem, to jest zezwolić na małżeństwo między jego córką a Kazimierzem, zwłaszcza że panna Wanda kocha narzeczonego gorąco i gotowa wyjść za niego wbrew woli matki. W paradnej, tryskającej humorem scenie daje się wreszcie ubłagać i pani Kłaczkowa, którą ostatecznie przekonał argument o zamożności rodu Gzymsików i cała sztuka kończy się pogodnie i wesoło.

Znakomita robota sceniczna i ogrom humoru i wesołości zapewniają „Krowoderskim zuchom“ długi jeszcze szereg dobrych przedstawień, bo publiczność, chcąc się szczerze uśmiać, idzie po kilkakroć na ulicę Rajską, gdy afisz teatralny zapowiada sztukę Turskiego.

Do powodzenia „Zuchów“ przyczynia się w znacznej mierze świetne wykonanie. Prym dzierży autor sztuki, grający Felka Gzymsika, naprzód jako kaprala „landwery“, potem jako „cywila“, a grający ze znaną bywalcom teatralnym werwą i temperamentem. Galeryę reszty zuchów dopełniają pp. Bończa, jako mało mówiący ale dużo jedzący i pijący Franek, znakomicie odtworzony typ andrusa przedmiejskiego, Wandycz jako Staszek i Bienin jako Walek. Słowa szczerej pochwały należą się dalej pp. Rolandowej i Szkudelskiemu za doskonałe oddanie ról Zosi i Kazimierza. Starych Gzymsików grają pp. Orwid i Kolmanówna, a grają istotnie znakomicie, tworząc świetne typy. Pyszny typ dorobkiewicza stworzył p. Czarnowski w roli „radcy“ Kłaczka, odważnego pod nieobecność żony, (p. Rozwadowska) a cichego i pokornego wobec niej. Sympatyczną córką ich jest p. Żarlińska. Z galeryi reszty, doskonale uchwyconych typów, wyróżnia się p. Dębowicz, jako kanalarz miejski.

Z doskonałej sztuki Turskiego zamieszczamy dziś zdjęcie, przedstawiające scenę z szopką w domu pp. Kłaczków, oraz portret autora, Stefana Turskiego.



„Krowoderskie zuchy“: Scena z III. aktu sztuki Stefana Turskiego; Grzymsikowie z szopką w domu pp. Kłaczków.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 53.

Szarada: Polityka.

Szarada: Nowy Rok.

Zadanie do przestawienia: Za prawdę ludzie giną.

Zadanie przysłowiowe: Studnia czerpaniem czyścieje, rozum ćwiczeniem ostrzeje.

Zadanie kwadratowe:

Z a m b e z i
M a ł a k k a
K o ł a c y a
R a d e c k i
K o ł y s k a
K a l i n k a
M a r c o n i

Rebus: Zapraszamy do przedpłaty na Nowości Illustrowane.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Aleksandrowicz Tarnopol, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, M. Balicka Stanisławów, K Gliński Kołomyja, J. Wojciechowski Buczacz, S Lindenbaum Czerniowce, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Hillenbrand Lwów, D. Sedyńska Kraków, R. Knapik Tarnopol, J. Kopczyńska Bierzanów, S. Ogibiński Jasło, H. Wyka Sanok, K. Zachara Drohobycz, J. Kozłowski Lisko, W Nowacki Sambor, M Krzyżanowska Podgórze, J. Wilczkiewicz Krosno, K. Zieliński Stanisławów, D. Oberländer Jasło, H. Dymnicki Lwów, K. Marek Lwów, J. Wacławik Tarnów, S. Bukała Rzeszów. J. Barnat Bochnia, H. Antosz Dziedzice, M. Piątek Podwołoczyska, J. Jahoda Cieszyn, S. Kinalski Rozwadów, T. Bernatowicz Jabłonów. W. Scholz Krosno, H. Malinowski Płock, M. Więckowska Warszawa, Z. Gawłowicz Sandomierz, J. Gryziecki Tomaszów, S Bukowski Kijów, H. Maciejowski Odessa, J. Lewicki Wiedeń, T. Rogoziński Złoczów, H. Mikiewicz Lwów, I. Piotrowski Piotrków, M. Brzostowski Sandomierz, M. Bandrowska Warszawa, H Świrska Częstochowa, S. Ostrowski Cieszyn, L. Kwaśniewski Płock, J. Minasowicz Lwów, H. Schwarz Biała, T. Cybulski Poznań, J. Obraczay Dziedzice, H. Wilczkiewicz Lwów, F. Frankowicz Kraków, C. Wang Rzeszów, J. Engelberg Mielec, F. Wąsowicz Rozwadów, T. Nowak Nowy Sącz, M Lisowiecka Zakopane. J Czernecki Zakopane, K Wilkosz Sanok, M Wronka Sandomierz J. Martynowicz Kraków, S. Sygnarska Lwów, T. Grabowski Lwów, J Rosenbaum Rzeszów, J. Stępień Tarnów, H. Gaj Kraków, J Nalewajko Lwów, M. Oszacka Stanisławów, W. Hohenberg Biała, S. Tokarski Lisko, J. Opidowicz Nowy Sącz, W. Zapałowicz Warszawa, R. Chmurowicz Jarosław, H. Dąbski Lwów, J. Tymiński Kraków, H. Idzikowski Kraków, T. Sołtysik Rzeszów, J. Zwoliński Żurawno, H. Klimek Kraków, S. Jagodziński Lwów, M. Ciszewska Kraków, S Gogulski Bochnia, J Dawidsohn Warszawa, M. Ludwikowska Petersburg, M. Herz Skierniewice, J. Słowikowski Zakopane, M. Kozicka Stanisławów, J. Rechowicz Częstochowa, O. Górkowa Chyrów, J. Andrzejowski Czerniowce, J. Pick Łódź, W. Lichański Piotrków, J. Jaglarz Szczakowa, M. Popiel Warszawa, Z. Przybyłkiewicz Kołomyja, K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków, K. Fuchs Czeremchów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **F. Frankowicz, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Co dziś gotować na obiad? Takie pytanie zadaje sobie niejednokrotnie zakłopotana gosposia, ani wiedząc nawet, że z pomocą w tej trosce przyjść jej może kalendarz bloczkowy umyślnie w tym celu wydany przez ruchliwą drukarnię J. Styfiego w Przemyślu. Każda kartka tego kalendarza, prócz daty dnia i imienia patronów, przynosi jeszcze *menu* dwóch obiadów, okazalszego i całkiem skromnego, oraz po stronie odwrotnej gotowy szemat dziennych rachunków domowych Niska cena (80h.) tego nader praktycznego kalendarza, oraz staranne wykonanie uczynią go niewątpliwie w każdym domu pożądanym gościem. Nadaje się on także dla kupców do celów zwyczajnej, noworocznej reklamy.

Ze świata kobiecego.



Rys. 1. Toaleta recepcyjna z trenem z *crepon lamé velour.*

Nigdy może — nigdy przynajmniej od lat dziesiątków, moda nie stanęła na tak artystycznym prawdziwie poziomie jak w chwili obecnej. Ustala ją poniekąd dopiero bieżący karnawał we wielkich centrach życia i mody, i doprowadza do tego iście malarskiego rozwoju; niejeden z naszych tegorocznych wzorów mody żywcem mógłby figurować na kreacyach malarskich i jak stroje z epoki *empire* lub dyrektoryatu przejdą one bez wątpienia na karty kronik mody.

Obowiązana jestem moim Czytelniczkom służyć zwięzłą informacyą w przedmiocie reguł stroju, będących *de rigueur* na ten karnawał. Przedewszystkiem zatem należy mi zastrzedz większą niż kiedykolwiek dotąd uwagę w dobraniu toalety właściwej do wieku, figury, warunków miejsca i pory, wreszcie rysów tej, która ją przywdziewa; jeśli kiedy bowiem, to przy obecnej tak fantastycznej i malowniczej modzie, trzeba pamiętać o przestrodze Francuzów: *„du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas"* i łatwo tu jest przekroczyć ten krok jeden, dzielący od śmieszności. Warunkiem piękna stroju jest jego harmonia: w liniach i barwach, jego dostosowanie, słowem, do własnej indywidualności.

W pierwszej linii w barwach używanych tego roku nastąpił gwałtowny przewrót. Miejsce tak cenionych dotąd pobladłych, delikatnych odcieni pastelowych zajęły jaskrawe, wybitne barwy, niby okrzyk tryumfu działające na zmysły, w najżywszych, intenzywnych, najognistszych swych tonacyach. Ale właśnie wobec tej ich żywej piękności, nakazaną jest wielka powściągliwość; blade, nie dość świeże cery bowiem przy nich bledną i martwieją jeszcze więcej. Przy czarnym natomiast, dobrze dobranym, przystroju, działają nadzwyczaj korzystnie.

Co się tyczy materyałów, najwięcej używanemi w tym karnawale są ciężkie brokaty w żywych barwach, przypominające tkaniny kościelne lub owe sztywne, wspaniałe adamaszki, oglądane na obrazach włoskich malarzy Renesansu. Przy takich materyach wszelki przystrój jest zbytecznym.

Tem więcej przystroju zato wymagają jednobarwne suknie; tu staniki całe niemal złożone są z haftów, ozdób metalowych, z pereł i innych garniturów.

W kroju przewagę bierze tunika, zastosowana w swej długości i fasonie do wieku przywdziewającej: krótka, okrągło skrajana dla młodych — dłuższa, rozcięta po obu bokach — dla poważniejszych pań. W balowych sukniach tegorocznych przeważa suknia krotka do kostki: wszystko, co rości pretensyę do młodości, nosi krótkie, odsłaniające nogę balowe suknie. Wobec tego trzewiczek zająć musiał wybitne to stanowisko, jakie miał niegdy za czasów Ludwika XV. Robią je z brokatu i skór fantazyjnych; stąd przy nim powrócił znów ozdobny, wysoki koreczek czerwony, jaki ongi nosiły piękne markizy, cieniutkie jak mgła przezrocze pończoszki *à jour*, wielkie klamry z połyskliwemi kamieniami i zdobne kokardy.

Zwierzchnie, odczepiane treny, które w tańcu zarzuca się na rękę, z ciężkiego brokatu lub aksamitu, zakończone kwastami, stanowią *dernier cri* mody i są bardzo praktyczne; robią je również z koronek, gaz i lekkich materyałów, na ciężkich jedwabnych sukniach. Duszą balowej sukni jest *decolleté*. Pełny, piękny biust domaga się głębokiego, okrągłego wykroju, do



Rys. 2. Suknia balowa z adamaszku *vert or* z haftem z czarnych dżetowych pereł.

Rys 3. Suknia balowa z jedwabnej materyi *corail* i tiulu popielatego *gris-perle*.



Rys. 14 Kapelusz z filcu czarnego z szerokiem rondem i jasno-popielatemi piórami *pleureuse.*

szczuplejszego używa się wycięcia w *coeur* lub czworogran. Otoczenie ostrych, ciemnych linii, jak z aksamitu i futra, stosować można tylko do pełnych biustów. Z barw do młodocianych toalet dla panien używane są najwięcej jednolite, blado-różowe, *ivoire*, białe, w srebrne krople rosy lub kryształowe perły, zdobne w girlandy kwiatów. Odrębnością toalet balowych, tegorocznych są rękawy, spadające do połowy górnej części ramienia, ale robią też suknie balowe bez rękawów, w takim razie jednak *fichu*, stanowiące przystrój stanika, spada nizko w dół, tworząc rękaw.

Model nasz (rys. 1) daje wzór wspaniałej, recepcyjnej toalety dla poważniejszej mężatki z jedwabiu liberty, z trenem z *crepon lamé*, w deseń aksamitny i oblamowaniem z gronostajów; haft z pereł uzupełnia przystrój; rękaw stylowy dochodzi do połowy ramienia. *Mora.*

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. K. Turecka, Tarnopol: Otrzymaliśmy.

Wni. Uczniowie 3 roku szkoły rolniczej w Kobiernicach: Prawo ubiegania się o nagrodę mają tylko Prenumeratorowie, przynajmniej kwartalni. Jeśli który z Panów jest prenumeratorem, należy na jego nazwisko przesłać rozwiązanie.

WP. St. Faliszewski, Baligród: Do nadsyłanych nam do umieszczenia zagadek i szarad należy zawsze dołączyć dokładne rozwiązanie.

WP. M. A. Lwów: Co do wyrazów, jakie mogą się ubiegać o nagrodę 100 Kor. to powinny to być wyrazy polskie Obce o tyle tylko mogą b ć uwzględnione, o ile i w naszym języku mają jakieś znaczenie lub są imionami własnemi Rzecz prosta, że należy je przytaczać w najprostszej formie, to jest w przypadku pierwszym, zdarza się bowiem dość często, że niektórzy z Czytelników, mający widocznie dużo czasu, jeden i ten sam wyraz powtarzają n o w kilku przyp dkach lub rodzajach.

WP Paula Schaffer, Borysław; P. Barylak, Pinczów. L. Łętowski, Strażów: Rozwiązania nadesłane bez kuponu wyciętego z „Nowości Illustrowanych" są nieważne.

Wielebny ks. D... Podkamień: Nowoutworzone wyrazy należy numerować i podać potem ogólną ich liczbę

WP. Giercuszkiewicz Nowy Sącz: Odpowiedź listownie.

Głosy publiczne.

Atrakcyą programu **„Cyrku Edison"** od piątku dnia 13 do czwartku dnia 19 bm. będzie obraz p. t. „Latude" dramat historyczny z czasów Ludwika XIV, zdjęcie artystyczne M. G. Fagota.

Reszta programu składać się będzie ze zdjęć przeważnie o treści pouczającej i humorystycznej.

Zwracamy uwagę naszych P. T. Czytelników na firmę Hannsa Konrada, c. i k. nadwornego dostawcy w Brüx Nr 3601 Czechy. Wyroby tej firmy możemy każdemu najgoręcej polecić. Znakomita ich bowiem jakość uznana została przez liczne złote i srebrne medale, jakoteż przez udzielenie pozwolenia używania cesarskiego wota. Firma powyższa cieszy się jak najlepszą opinią tak w kraju jak i poza jego granicami i wysyła swe wyroby do wszystkich części świata. Bogato illustrowane katalogi z więcej niż trzema tysiącami rycin przesyła się każdemu na żądanie darmo i opłatnie.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

40

— Nie?... To niemożliwe!

— Niestety, tak jest.

Ton pani Lambert był teraz poważny i szczery. Obecnie Ewa nie mogła ukryć swego zdziwienia.

— A muszę ci dodać, moja kochana, że ona jest w prawdziwym kłopocie kogo wybierać! — rzekła Berta, ciesząc się z osłupienia młodej panny.— Wyrywa ą ją sobie!

— Zaledwie służący odniósł koszyk — opowiadała Julia — gdy dwóch...

— To służący odniósł koszyk? — przerwała Ewa.

— I jeszcze jaki!

— Cały wyzłocony, jak wielki ołtarz w kościele.

— I zaledwie odniósł koszyk — zaczęła znowu Julia — gdy zjawiło się dwóch panów i pytali o nią...

— Pytali o Ludwikę?

— Tak... A następnego dnia zjawił się jeszcze trzeci, który dowiadywał się o nią... Był on znowu i dzisiaj...

Tym trzecim mężczyzną był właśnie Panajon, którego druga wizyta zaintrygowała całą pralnię.

— Co to ma znaczyć?... — szeptała Ewa.

— Nie w smak ci to? — zauważyła zjadliwie Julia.

— I nie wiecie, gdzie ona jest? — pytała przyjaciółka fałszywego Karola Turnera.

— Myślałyśmy z początku, że została u pana Duponta — rzekła pani Lambert. — Do niego ją bowiem posłałam.

— Cóż to za pan Dupont?

— Nowy klijent... Ludwika mu się podobała... Nastawał na to, by ona odniosła mu bieliznę...

— To nie z nim ona jest — zaprzeczyła Berta.— Ci dwaj panowie, którzy przychodzili razem pytać się o nią, wymienili nazwisko jakiegoś innego jegomościa, z którym rano miała rendez vous na placu Pereire.

— Miała rendez-vous?

— Ci panowie tak mówili.

— A jakie nazwisko oni wymienili?

Pani Lambert i wszystkie prasowaczki odpowiedziały razem:

— Karol Turner!

Te cztery sylaby dobiły Ewę. Fałszywy Australczyk nie domyślał się, że Piotr Cartelegue wymienił jego nazwisko u pani Lambert i tylko dlatego nie sprzeciwiał się, by jego przyjaciółka poszła do pralni, z której Ludwika znikła zupełnie.

— Jak?... — szepnęła młoda panna.

— Karol Turner! — usłyszała jedną odpowiedź.

„Drwią sobie ze mnie... — myślała Ewa. — Matka Lambert i jej wiedźmy dowiedziały się już, że jestem z Karolem Turnerem... I dlatego mówią jego nazwisko, by mnie rozgniewać...“

Spojrzała na twarze swych dawnych koleżanek, lecz nie widać było, by one żartowały. Myśli młodej panny zaczęły się gmatwać. Starała się opanować. — „W tem coś musi być — myślała. — Lecz co?“ I zapytała drżącym głosem:

— Nie macie innych szczegółów?

— A te ci nie wystarczają? — odrzekła Julia.— Zdaje mi się jednak, iż i te popsuły ci trochę humor!

Nagle pewna myśl przyszła do głowy Ewie.

— Jak wyglądał służący, który odniósł koszyk?

— Wspaniale!

— Ale jego powierzchowność?

— Królewska... głowę ma dużą... minę ma poważną i pewną siebie...

— Szeroki i krótki kark...

— I duże niebieskie oczy? — zapytała Ewa.

— Tak... Więc ty go znasz?

Młoda panna nie odpowiedziała.

„To Euzebiusz! — pomyślała. — W takim razie to z Karolem Ludwika miała rendez-vous! Oh! Chyba oszaleję!“

Nagle Julia zawołała:

— Zapomniałam! Ludwika przychodziła!

— Tutaj?

— Tak... Lecz tylko weszła i wyszła..

— Kiedy?

Ewa zadawała te pytania coraz bardziej drżącym głosem. Z trudem tylko mogła mówić.

— Wczoraj rano... — odpowiedziała Julia. — Ale zawracała nam głowę...

— Nie chciała przyznać się, że ma takie szczęście w miłości — dodała Berta.

— Tak, tak — wtrąciła gruba Leontyna. — Lecz gdyśmy wspomniały o Karolu Turnerze, przekonała się, że wszystko wiemy i dlatego zaraz poszła.

— Nie chciała nic więcej słyszeć!

— Napuszona gęś! — zakończyła Julia.

— Do widzenia paniom — rzekła Ewa.

— Już uciekasz?

— Nie długo zagrzałaś u nas miejsca!

— Gdy tylko cię zobaczyłam w takiej toalecie i o takiej porze, zaraz sobie pomyślałam, że w tem coś musi być!

— Spieszy mi się... Czekają na mnie!

Ewa nie wiedziała sama, co mówi. W głowie jej powstał chaos.

— Do widzenia... do widzenia... — powtarzała, wychodząc.

Tak była przejęta, że nie widziała nawet matki Ladroule, która kłaniała się przed nią w korytarzu z wielką uniżonością.

— Dokąd mam jechać? — zapytał szofer, otwierając drzwiczki samochodu.

Podała adres Karola Turnera i opadła bez sił na siedzenie.

— Och! — zawołała, rozpinając na sobie futro. — Muszę zaraz przekonać się, co to ma znaczyć! Ludwika!... Karol!... Co może być między nimi?...

Ze złości wyrwała z kołnierza kilka garści futra i wyrzuciła je przez okno.

— Karol! Ludwika! — rozmyślała dalej młoda panna. — To dwie osoby, które najbardziej kocham! Nie! Nie mogę w to uwierzyć... A jednak!

Zapukała pięścią w szybę, oddzielającą ją od palacza i zawołała:

— Prędzej!

Samochód przyśpieszył biegu. W chwilę potem zatrzymał się na ulicy Boissy d'Anglas. Panajon uprzedził Tetarda, iż obydwaj będą zajęci późno w nocy. Herkules zawczasu też postanowił wypocząć. Położył się na łóżku i chrapał, jak nie kowalski. Obudził go dopiero dzwonek elektryczny.

— Cóż tam, do licha! — rzekł w złym humorze.

Wstał i przecierając oczy, skierował się powoli do przedpokoju.

— Nie mam przecież skrzydeł, do dyabła! — zaklął, gdy dzwonek się znowu rozległ.

Wreszcie otworzył i wyprostował się zaraz majestatycznie na widok Ewy.

— Jest pan Turner? — zapytała młoda panna.

— Pan wyszedł.

— Ja poczekam.

Zrobiła ruch, że chce wejść.

— Pan dzisiaj nie wróci do domu — odpowiedział służący.

— Czy z pewnością?

— Z zupełną pewnością.

Tetard w odpowiedziach swych stosował się do instrukcyi swego pana. Panajon nie chciał, by ktokolwiek przyszedł przeszkadzać mu w przygotowaniach do nocnej wycieczki.

— Gdzie pan jest? — zapytała jeszcze Ewa.

— Teraz?

— Tak.

— Nie wiem.

— Dobrze.

Ewa zacisnęła pięści. Rękawiczki jej trochę za małe, jak na jej spracowane ręce, pękły przy ściśnięciu dłoni.

— Ale Euzebiusz jest tutaj i może mi powiedzieć...

Przerwała. Czyż godność jej nie ucierpi na wypytywaniu się służącego?

Ewa z początku zawsze pamiętała o swej godności, by po chwili zaraz o niej zapomnieć.

— Euzebiusz może mi powiedzieć, co to znaczy ten koszyk, odnoszony przedwczoraj do pralni Lambert na ulicę Laugier.

Tetard milczał. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Panajon nie dał mu co do tego żadnych wskazówek. Na wszelki jednak wypadek przybrał minę obojętną i postanowił dyplomatycznie milczeć. Twarz jego, na której nigdy nie było widać żadnej myśli, stała się teraz wprost idyotyczną.

— Cóż więc znaczy ten koszyk?... — powtórzyła młoda panna.

— Nie wiem, co pani chce powiedzieć — odrzekł Tetard.

Ewę ogarnęła chęć wytrzaskania tej ordynarnej i bezmyślnej twarzy. Przez kilka chwil stała w milczeniu, drżąc całem ciałem. Potem odwróciła się i poszła.

Tetard zamknął najspokojniej za nią drzwi.

— Nic tu nie rozumiem — rzekł do siebie — ale to mnie nic nie obchodzi. Dobrze tylko zrobiła, że mnie obudziła! — ciągnął dalej, patrząc na zegarek. — Szósta godzina! Właśnie czas na kieliszeczek. Tylko jeszcze Turnera brak u ojca Ludwika.

Ojciec Ludwik, był to właściciel restauracyi, w której zbierała się męska służba z ulicy Boissy d'Anglas. Co zaś do Turnera, to Tetard miał tu na myśli samego siebie, bo według zwyczaju, panującego w przedpokojach, lokaje nazywają się między sobą nazwiskami samych panów. Włożył na głowę czapkę i wyszedł, dodając sobie:

— Dzisiaj De Dion ma stawiać Vermuth mnie i Rotszyldowi.

III.

Tetard wrócił o jedenastej godzinie. Tę porę naznaczył mu Panajon. Fałszywy Australczyk przybył przed chwilą. Siedział w swej ubieralni przed stołem, zastawionym szczotkami, grzebieniami, flakonami, rozpylaczami, słoikami i rozmaitemi narzędziami z kości słoniowej.

— Oto jestem — rzekł Tetard.

— Dobrze. Nie jesteś pijany?

— Kazałeś mi uważać na siebie... Uważałem...

Panajon nie bardzo dowierzał swemu towarzyszowi, gdy chodziło o trzeźwość. Zwrócił się więc do niego i rozkazał:

— Stój na lewej nodze... Dobrze! Prawą do góry! Wyżej! Zamknij oczy! Łokieć na kolano! *All right!*

Próba wypadła zadowalająco. Tetard w tej trudnej pozycyi zachował równowagę. Nie pił za wiele.

Panajon ciągnął dalej:

— Zdejmiesz liberyę, a włożysz ubranie, które ci kazałem kupić popołudniu.

— Dobrze.

— Potem przygotujesz dwie walizy.

— Co trzeba do nich włożyć?

— Nic... Przygotować, znaczy w tym wypadku powyjmować z nich wszystko...

I Panajon odwrócił się znowu do lustra, które stało przed nim na stole. Wziął słoiczek, umaczał

w nim palec i posmarował sobie twarz wazeliną. Potem kościany nożyk położył pod swe bokobrody, które lekko odpadły z twarzy. Położył je na stole, wziął serwetkę i zaczął mocno wycierać nią oba policzki. Potem na drugą serwetkę nalał wody kolońskiej i urządził sobie drugie nacieranie.

— Ah! — rzekł zadowolony. — Oto i dawny Ernest.

Uśmiechał się, przyglądając się w lustrze swej twarzy. Turner znikł. Był teraz Panajon ze swą wygoloną twarzą kelnera z restauracyi.

Tymczasem w sąsiednim pokoju przebierał się Tetard.

— Wiesz co? — rzekł nagle przez uchylone drzwi. — Mała przychodziła.

— Ewa?

— Tak.

— Zabroniłem ci nazywać ją „małą“... Wyrażaj się przyzwoiciej...

— Przyszła twa mieszczka...

— Moja mieszczka! — zawołał Panajon, czesząc się. — A to co za nowy sposób mówienia!

— Jakże chcesz, bym ją nazywał?

— Mów... Hm!... Mów: hrabina! Tak będzie najlepiej!

— Ona jest hrabiną!... To niemożliwe!...

— Taką jest hrabiną, jak i dziewięć dziesiątych innych hrabin...

— Ah! tak... Dobrze! A więc twoja hrabina przychodziła... Chciała cię koniecznie widzieć...

— Nie może się obejść bezemnie!... To rozczulające!...

— A przytem chciała ci coś powiedzieć! Prosiła mnie, bym wytłómaczył jej, co znaczy koszyk, który odnosiłem przedwczoraj na ulicę Laugier...

Panajon podskoczył w fotelu.

— Nie miała miny bardzo zadowolonej... — dodał herkules.

Złodziej w odpowiedzi rzucił całą masę przekleństw. Potem zapytał:

— A tyś co powiedział?

— Że nie wiem, co ona chce powiedzieć!

— Potem?

— Potem patrzyła na mnie jak kot, który chce się rzucić do oczów... Wreszcie obróciła się i poszła...

Panajon nie przestawał przeklinać.

— Do dyabła! To zupełnie naturalne, że jej mówili o koszyku! Lecz jak ona domyśliła się, że to był Tetard? Musieli jej go opisać dokładnie! Lecz poco to robili?

Rzucił grzebień na stół i zakończył:

— Dosyć! Jutro znajdziemy sposób, by jej wszystko wytłómaczyć!

Wstał. Ukazał się i Tetard. Herkules miał na sobie skromne marynarkowe ubranie.

— Mój żółty garnitur! — rozkazał Panajon.

Tetard wyjął z szafy eleganckie ubranie i pomagał swemu panu je włożyć.

— Wiesz, co będziemy robili?

Na pytanie to herkules odpowiedział dyskretnie ruchem człowieka, który nic nie wie i wiedzieć nie chce.

— Będziemy się bawili cukierkami jabłkowemi! — wyjaśnił Panajon.

— Tak?

W ten sposób złodzieje w swym żargonie nazywają wytrychy.

— Tak... — ciągnął dalej Panajon. — Cieszę się z tego bardzo... Ileż to już czasu nie mogłem używać swego ukochanego sportu...

Tetard nie okazywał żadnego entuzyazmu. Zadowolił się kiwnięciem głowy. Pan jego tłómaczył w dalszym ciągu:

— I nie chodzi tu wcale o wyłamanie skarbonki w kościele, w której znaleźlibyśmy kilka franków... Powrócimy z dwiema walizami, pełnemi biżuteryi, drogocennych rzeczy i nie wiem już z iloma tysiącami franków w kieszeni.

To zrobiło na Tetardzie wrażenie. Gwizdnął lekko przez zęby na znak podziwu.

— Palto! — zawołał złodziej.

Tetard pośpieszył je podać.

— Nie można się spóźnić... Nie wolno odpowiadać tam niegrzecznością na delikatność... Bądźmy punktualni na rendez vous.

Panajon spojrzał na zegarek, leżący na stole i zaczął się śpieszyć.

— Na rendez vous? — zdziwił się herkules. — Czy kto na nas czeka?

— Właściciel mieszkania, które mamy ogołocić z cennych rzeczy.

Tetard wziął to za żart i uśmiechnął się.

— Śmiejesz się? — mówił Panajon. — Nie uważasz tego za prawdę?

— Czego?... Że właściciel mieszkania, które mamy okraść, czeka na nas?...

— Tak, mój stary i czeka na nas z wszelkimi honorami.

— Nic nie rozumiem.

— Mniejsza z tem. Zobaczysz jak ten szlachetny obywatel otworzy nam drzwi, naładuje nasze walizki kosztownemi rzeczami i odda nam do dyspozycyi swą kasę ogniotrwałą...

— Wielkie niebieskie oczy Tetarda zawsze wytrzeszczone, zdawały się teraz wyskakiwać z swych orbit.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył W. Skirmunt, Szemetowszczyzna.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby rząd środkowy nowoutworzonych wyrazów podał nam tytuł jednego z utworów Juliusza Słowackiego.

□
— — — □ — — —
— — — — — □ — — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — — □ — — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — — — — □ — — — — —
— — □ — —
— — — — — — □ — — — — — —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Miejsce, gdzie Napoleon wygrał bitwę. 3. Wyspa w Ameryce. 4. Znakomity inżynier francuski. 5. Marszałek francuski. 6 Roślina. 7. Spółgłoska 8. Okres czasu. 9. Roślina. 10. Sławny wódz rzymski. 11. Królowa szkocka. 12. Ptak śpiewający. 13 Niemiecki polityk. 14. Pisarz rosyjski. 15. Miasto na Ukrainie. 16. Powieść Reymonta. 17. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z podanych liter utworzyć znane polskie przysłowie:
Aida, niwa, Gogol, eden, kasa, i.

Szarada.

Ułożyli Członkowie Czytelni Polskiej, Krechowice.

Nie wątpię, znany jest każdemu przecie
Metal, co tworzy go pierwsze i trzecie,
Łatwo też zgadnąć, praca to niedługa
Co tworzy z sobą część pierwsza i druga...
Wszak to pięknego nazwa instrumentu
Lecz w liczbie mnogiej, więcej już talentu
Trzeba, by zgadnąć, jak po rusku śmiecie,
Które przy zboża młóceniu powstaje
A które tworzy znów drugie i trzecie;
Całość to owoc. Nieraz mamcia łaje,
Że go córeczki nadto używają
I liście z drzewa żywota zrywają.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z podanych liter utworzyć znane polskie przysłowie:
Folio, t, Czesi, grog.

Logogryf.

Ułożyła Dołężanka, Jordanówka.

Kwadraty i kreski odpowiednio zastąpione literami utworzą wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd, czytany z góry na dół, poda nam imię i nazwisko polskiego rzeźbiarza.

□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Imię żeńskie. 2. Boginka. 3. Przedmiot kupna i sprzedaży. 4. Szlachetny kamień. 5. Kraj w Afryce. 6. Kraj w Azyi 7 Bogini rzymska. 8. Święte obrazy prawosławnych. 9. Inaczej: Niech żyje! 10. Zasłona na lampę. 11. Postać żeńska z „Quo vadis". 12. Inaczej rysa. 13. Wyspa na morzu Śródziemnem. 14. Imię żeńskie.

Logogryf.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Rząd środkowy odpowiednio utworzonych wyrazów poda nam imię i nazwisko polskiego malarza.

— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —

Znaczenie wyrazów: 1. Artysta cyrkowy. 2. Miasto w Austryi. 3 Drzewo. 4. Utwór muzyczny 5. Owoc. 6. Mieszkaniec Europy. 7. Rodzaj powozu. 8. Dawny urząd 9 Kompozytor włoski. 10 Nieprzebyte błota. 11 Inaczej nedza. 12. Pseudonim polskiego powieściopisarza. 13. Miasto na Węgrzech. 14. Ryba morska. 15. Wyspa australska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z podanych poniżej liter utworzyć znane polskie przysłowie:
O, igła, Warta, owoc.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Kazimierza Tetmajera:* **Hasła.**